

Komu potrzebna jest poezja?



Poezja potrzeba jest przede wszystkim samemu poecie. Poeta pisząc wiersz, spełnia się w nim duchowo, odgaduje swój magiczny świat dążeń i pragnień, daje wyraz swoim namietnościom i pokusom. A że przy okazji pokazuje innym, jak głęboka jest studnia jego osobowości, to już inna sprawa, gdyż wcale nie chodzi przecież mu o to, by z niej wodę pito

Na postawione w tytule pytanie mógłbym pewnie od razu odpowiedzieć słowami znanych mi poetów: Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, czy też na przykład Krzysztofa Gąsiorowskiego. Szymborska niejednokrotnie wypowiadała się, że poezja jest swoistym rodzajem sztuki dla sztuki, Różewicz głosił, że dla poety, jak dla każdego artysty - a poeta jest w przeciwieństwie na przykład do aktora, artystą bo tworzy - słowo jest materiałem twórczym, bez którego żyć nie można. Tak, jak nigdy nie wiadomo na początku procesu twórczego, co z tego zamysłu powstanie. Jaki wiersz, o czym będzie, jakiej klasy dzieło uda się stworzyć.

Krzysztof Gąsiorowski, z którym miałem przyjemność parę razy się spotkać i podyskutować, a nawet wymienić tomiki twierdził, że nie zna czasu, w którym poeta tworzyłby dla pieniędzy. Nawet wówczas, gdy jako nadworny twórca - wierszokleta podejmował się chwalenia zasług, bądź męstwa swego pana, co najwyżej robił to dla chleba i napitku. I podobnie jak wędrowni trubadurzy opiewając piękno, dobro i heroizm, niósł rozrywkę, czym przy okazji sam się bawił.

Zatem poezja potrzebna jest przede wszystkim samemu poecie. Poeta pisząc wiersz, spełnia się w nim duchowo, odgaduje swój magiczny świat dążeń i pragnień, daje wyraz swoim namietnościom i pokusom. A że przy okazji pokazuje innym, jak głęboka jest studnia jego osobowości, to już inna sprawa, gdyż wcale nie chodzi przecież mu o to, by z niej wodę pito. Chodzi tylko, by w razie potrzeby mogli ją z niej czerpać inni.

Opublikowałem w tym roku dwie książki prozatorskie i gdyby nie poproszono mnie o udział w współredagowaniu

kolejnej antologii poezji powiatu słupskiego, zupełnie nie znalazłbym czasu na poezję. Ja twórca, który swój życiorys literacki rozpoczynał od poezji, mam coraz mniej czasu na pisanie wierszy. Mam go i coraz mniej na czytanie wierszy innych poetów. Poezja coraz częściej stanowi margines moich zainteresowań literackich także i z innego powodu, innego niż brak czasu. Z powodu braku, a raczej niedostatku interpersonalnych więzi z innymi poetami. Niedostatku, który z kolei sam sobie funduję, poszukując w poezji wartości z tak zwanej górnej półki lub środków artystycznych godnych mojego wysublimowanego już smaku i doświadczenia.

Obserwując czasami w internecie to, co wokół poezji się dzieje, śledząc mody i doszukując się jakichkolwiek tendencji rozwoju współczesnej poezji, upewniam się jedynie w przekonaniu, że gatunek ten ma się w naszej literaturze całkiem nieźle, ale tylko dlatego, że w szkołach wciąż jeszcze młodzież uczy się wierszy, a w lekturach obowiązkowych nadal ważne miejsce zajmują poeci klasycy, w tym nasi nobliści i wieszcz. Że poezja jest gatunkiem zbliżonym do piosenki, zwłaszcza tej współczesnej typu disco polo czy rap. Wreszcie dlatego, że bez poezji, a przynajmniej

Andrzej Szczepanik, Bytów

WARTO BYŁO...

*Zimny dzień oświetlony bladym słońcem...
idę ulicą wyprzedzany obłoczkiem siwego oddechu
przez niedopięty kołnierzyk koszuli
odstaniający szyję unika chłód pomimo
że staram się by ciepło nie uciekało spod kurtki
nie zawsze mi się to udaje ponieważ mimo wysiłku
nie umiem porządnie zawiązać szalika jaki dostałem w prezencie
dłonie też mam lodowate - muszę zmienić rękawiczki
najlepiej na takie z jednym palcem
za to stopy mam ciepłe prawie gorące
dzięki futrzanej wkładce w nowych butach
z wysoką cholewką zapinaną na zamek błyskawiczny
były bardzo drogie lecz mogłem je kupić
za wygraną w konkursie jednego wiersza.*

jej nośników podstawowych, typu rym, rytm, wersowanie (zwrotka) czy pointa trudno byłoby obejść się bez niej przy takich okazjach szczególnych jak składanie życzeń, wyznawanie sobie miłości i uczuć, czy też chociażby uprawianie satyry na potrzeby dokuczania komuś ze znajomych, bądź przeciwników politycznych.



To wszystko powoduje, że poezja ma się ogólnie nie najgorzej, chociaż wcale nie tworzy podstaw do przydawania jej jakichkolwiek artystycznych wartości, nie mówiąc już o tych wartościach z tak zwanej górnej półki. Wręcz przeciwnie nawet, i nie chciałbym być gołosłowny, wystarczy wejść na strony niektórych lokalnych grup zrzeszających twórców - wierszokletów, by się upewnić, jak dalece czasami ich wiersze pozbawione są dobrego smaku, nie mówiąc już o warsztatowych ułomnościach wynikających z kompletnego nieprzestrzegania jakichkolwiek reguł i nieznanomości zasad pisania wierszy.

O tak zwanej „Częstochowie” wie niby każdy, ale co tam, łatwizna nie zderzająca się z krytyką, jak niegdyś bywało, zachęca do paplaniny jeszcze bardziej ponurej i prostackiej niż sama „Częstochowa”, a możliwość bezkrytycznego upowszechniania swojej grafomanii poetyckiej w internecie powoduje, że każdy może próbować pisać, publikować i wysyłać swoje teksty innym.

Nie neguję tego trendu całkowicie, ba, nawet staram się go zrozumieć z punktu widzenia psychologii, gdyż po pierwsze - co nie jest zabronione, jest przecież dopuszczalne, czemuś tam zawsze służy. A po drugie - moim skromnym zdaniem - każdy ma prawo spróbować czegoś, na co ma ochotę, tym bardziej w sztuce. A nuż kiedyś coś z tego wyniknie, nuż znajdzie się nauczyciel, który wskaże właściwą drogę lub sam tworzący wreszcie kiedyś zauważy, że można, a nawet należy czynić to lepiej.

Do kunsztu, perfekcji dochodzi się latami, dochodzi się poprzez wiedzę, naukę i doświadczenie oraz... nagany otrzymywane od innych. Pochlebstwa co prawda są w tych portalach poetyckich, twórczych czymś na porządku dziennym, ale z czasem także można się zorientować, od kogo pochodzą i ile są warte: czy to tylko kolesioskie przyzwolenia i popularne lajki, czy też zachwyty od kogoś, kto ma w tej materii coś do powiedzenia, np. od nauczyciela.

No i jest też jeszcze jeden powód, dla którego należy akceptować wszelkie formy sięgania po pióro, w tym przypadku w celu tworzenia choćby grafomanii, są nią względy, pobudki i potrzeby wynikające z rozwoju osobowościowego, z potrzeb wewnętrznych, duchowych zwłaszcza, związanych

z własną jaźnią, własnym widzeniem świata, reagowaniem na rzeczywistość (otoczenie, środowisko, przyjaciół) za pomocą wierszowanych tekstów - wierszy.

Wiersz bowiem od prawników był podstawą - podobnie jak piosenka, zwłaszcza ballada - do wyśpiewania, a w tym przypadku wyrzucenia z siebie tego, co nam w duszy gra. Wiązał się z wrażliwością śpiewającego (piszącego), który dając upust słowny swym emocjom, odreagowywał jednocześnie w decydujący sposób od stanów ducha wypychających go w depresję lub ku innym demonom.

Dobry psycholog po lekturze wiersza młodocianego poety zawsze jest w stanie powiedzieć na przykład, co dolega autorowi, z jakimi problemami osobowościowymi się on boryka. Mniemam, że w przypadku wielu osób dorosłych, gdyby tylko ktoś chciał (gdyby psychologowie się tym zajmowali) także można by było dawać diagnozy naprawcze.

Wiemy już zatem, że wśród rzesz, ogromnych zresztą (szacowanych na kilka, kilkanaście tysięcy) piszących wiersze, zdecydowana większość sięga po pióro, traktując to jako zabawę, w wyniku potrzeb wewnętrznych, osobowościowych, i są to rzesze wierszokletów - ludzi szczególnie wrażliwych na wszystko, co wokół nas się dziwnego dzieje. Zatem ludzi, którzy chętnie uczestniczą, bądź uczestniczyliby w kształtowaniu naszej rzeczywistości, w lepszym świecie, w bardziej obfitującej w miłość, przyjaźń i dobroć codzienności.

Poetów, którzy wspięli się na wyższe piętra sztuki poezji jest dużo mniej. Kilkanaście lat temu szacowano ich liczbę na około setki, dzisiaj śmiem twierdzić, że z racji rozwoju sztuki warsztatowej kształtowanej także przy pomocy internetu, może ich być około pół tysiąca. Wybrać spośród nich najlepszych, którzy zakwalifikowaliby się do pierwszej dziesiątki, nikt z krytyków się raczej nie waży, bo to i profesji krytyka zawodowego już dzisiaj nie ma i samoweryfikacja poprzez zakłócenia w systemie wydawniczym, publikatorskim i popularyzatorskim jest jakby nieobecna w życiu publicznym. Jak to się mówi: gusty, guściki kształtują zapotrzebowanie na poezję, w tym także na dobrą poezję, która rzecz jasna za dobrą może być uznawana tylko przez innych dobrych (rozumiejących warsztat twórczy) poetów, czy w ogóle odbiorców poezji.

Tym sposobem dobrnąłem do ostatniego ogniwa, czyli do odbiorcy poezji. Kim są, czy w ogóle jeszcze istnieją i jak się ma sytuacja z nimi? Jak oceniać to na podstawie czytelnictwa poezji w bibliotekach, czy też na podstawie uczestnictwa w spotkaniach autorskich z poetami?

No cóż, gdybym był studentem polonistyki, może pokusiłbym się właśnie o napisanie pracy na temat: komu dzisiaj potrzebna jest poezja? Pracę taką należałoby oczywiście poprzeć obszernymi badaniami na próbach wybranych grup społecznych, opiniach wydawców, nauczycieli, czytelników itp. A ponieważ ten etap (pisanie prac) mam dawno za sobą, mogę czerpać jedynie z relacji ustnych, obserwacji i doświadczeń własnych.

Relacje z rozmów z innymi twórcami wskazują na wiele ciekawych refleksji. Na przykład część z moich rozmówców uważa, że poezja jest jak każda sztuka potrzebna dla nich samych. Tworząc, spełniają się w niej. I to bez względu na to, jakie korzyści owo tworzenie im przynosi. Na pewno nie materialne, bo takich twórców - poetów, którzy utrzymywaliby się dzisiaj z wydawania swoich wierszy wskazać nie potrafię.

Poezja jako sztuka ma dzisiaj tak samo trudno jak muzyka, malarstwo, grafika, rzeźba itp. Musi trafić na swojego odbiorcę, fana, wielbiciela, czy znawcę.

Z moich obserwacji wynika, że od lat, od kiedy państwo przestało zajmować się literaturą w sensie jej promocji, poezja ma się dobrze w aspekcie samoobrony przed zniszczeniem. Właśnie te elementy, psychologiczny i wartościujący emocje twórcze poetów wyniesione ze szkoły i wykorzystywane w ogólnie pojętej kulturze społecznej, pozwalają poezji

przetrwąć, rozwijać się i poszukiwać dróg wyjścia z impasu, w jakim wraz z całą pozostałą literaturą się ona znalazła.

Z obserwacji spotkań autorskich poetów z czytelnikami mogę wynieść i to spostrzeżenie, że od czasów młodości Wiśławy Szymborskiej, narzekającej kiedyś w jednym ze swoich wierszy, że na jej spotkania przychodzi tak mało czytelników, też się nic nie zmieniło. Na ogół bez względu na nazwisko poety, na jego spotkaniu bywają przede wszystkim najbliżsi, znajomi i znajomi organizatorów. Wygodnictwo czytelników spowodowane współczesnym zalewem przez inne środki przekazu, powoduje, że bardzo trudno ich wyciągnąć z domów, zwłaszcza z powodu czytania wierszy, co przecież do najbardziej wyrafinowanych form sztuki nie należy. Od dawna już nie dziwi, że na spotkania z poetami w Warszawie, Gdańsku i innych dużych miastach przychodzi mniej czytelników niż na przysiółkowej prowincji. Chociaż i na prowincji dobrze też nie jest.

Czego to dowodzi? Wysublimowanych gustów różnych osób bez względu na prezentowane środowiska i profesje. Upodobań artystycznych, które nosimy w sobie niezależnie od tego kim jesteśmy, ale często także od tego kim chętnie byśmy się stali, gdyby to było możliwe.

Nie sprawdziłem tego, nie wiem, ale podobno - tak twierdzą bibliotekarze - wiersze czyta o wiele więcej czytelników spośród młodzieży niż osób dorosłych. I ten element mnie szczególnie cieszy, bo to świadczy o tym, że mamy wrażliwą młodzież i co byśmy na temat jej przyszłości nie mówili, w jej sercach dominuje dobro i miłość. A przyszłość przecież należy do młodzieży.

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

Zaduszki w Lipcach



Z prac polowych zostało zebranie kapusty. Cała wieś wyległa na kapuśniskach. Śpięszą się ludzie z wycinaniem główek, bo to i pada, i dnie coraz krótsze, że i w mroku trzeba robotę kończyć. A zagony kapusty nisko położone, w torfowiskach nad młynem, więc i wodę często trzeba z trębów wylewać, a wycięte główki w płachtach pod górkę do wozów nosić, bo w rozmiękły grunt nie da rady wjechać

Skończyły się wykopki u Borynów, zebrano też u innych gospodarzy ostatnie ziemniaki. Podorywki zrobione, na polach została tylko kapusta do wycięcia. To październik przecież i „jesień szła coraz głębsza. A co świtanie, wsie budziły się później; leniwiej było szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzby i ciszej brzmiały głosy, przytłumione martwością i pustką pól. A co świtanie - mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodółach i brogach”.

U Borynów na podwórku jeden ptak jest niezwykle - to bocian z przetrąconym skrzydłem, nie mogący odlecieć do ciepłych krajów, przysuwa się do ludzkiego domostwa; Witek podrzuca mu jedzenie, osławiając go po trochu. Dnie coraz krótsze, a wieczory ciemne i zimniejsze, z deszczem i wiatrem pojękującym w strzechach. W czas ten i dziadów wędrownych więcej widać we wsi: „i te zwyczajne, prośalne, co torbą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi,

przeprowadzane ujadaniem piesków - a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły - znaty Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwarię, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie we świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafiał się niekiedy i taki, kóten po cichu powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudenka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, tyła przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających po-bożnie”. To wieczorami, gdy zbierano się w izbie, a i u sąsiada czy krewniaka dłużej się można było zasiedzieć. W dzień bowiem jeszcze trochę pracy zwyczajnej, w obejściu, ale najważniejsze - przygotować się na jarmark. Na świętą Kordulę wyznaczony, czyli 22 października. A że ostatni

to jarmark przed Godami, trzeba dobrze się zastanowić, co na nim sprzedać „czy z inwentarza, czy z ziarna, albo też z drobnego przychówku”, a co kupić „i z przyrodziewku i ze sprzętów i z różnych różności gospodarskich”. Całe Lipce szykują się na jarmark. U Borynów stary z Kubą kończą młócić pszenicę na sprzedanie, a Józka z Hanką podpasają jeszcze trochę maciorę i gęsi. Pospieszne prace trwają do późna wieczór, ale wreszcie wszystko już przygotowane. Jutro jarmark.

„Jakoż i nazajutrz, jeszcze przed świtanie, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie. Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark”. Do pobliskiego miasteczka idą ludzie pieszo, jadą wozami, a organista z rodziną bryczką. Jarmark ten jest dniem szczególnym, bo nie tylko można tam kupić i sprzedać, ale jest to czas, gdy parobkowie i dziewczki służebne zwyczajowo mogą zmienić gospodarza. Maciej Boryna

rozmówił się z Kubą już w przeddzień, że ten zostaje dalej na służbie. Uzgodnili zadatku na przyszły rok na trzy ruble i dwie koszule, a choć gospodarzowi szkoda było tyle pieniędzy, to przystał na to, bo „Kuba wart był i więcej, robotny parob, choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niżli o siebie, choć i kulawy był i mocy wielkiej nie miał, ale na gospodarstwie się znał - można się całkiem spuścić na niego, że wszystko jak przynależało zrobi i jeszcze najemnika przypilnuje”. Boryna wyrusza na jarmark spokojny, że parobek już zgodzony. Teraz sprzedać pszenicę i czerwoną koniczynę, sprzedać świnię, a kupić.... Kupić można na jarmarku w Tymowie wszystko. Wzdłuż klasztoru stoją płócienne budy z towarami kobiecym: płótna, chustki, paciorki, lusterka, wstążki, a „dzieuch i kobiet pełno tu przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić - która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć ślicznościami”. Dalej sprzedają obrazy święte, od których blask pozłocisty bije. Dalej czapnicy, szewcy, powroźnicy, kołodzieje, garbarze, krawce, kożuszarze, a rzeźnicy, a piekarze, aż „gdzie zaś i kto przelichy i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?”. Bo przecież i zabawki jeszcze, i kalendarze, i książki nabożne, i instrumenty muzyczne, jak piszczałki, organki i gliniane kuraski, a bębny, a skrzypki? Po dojściu do rynku miasteczka z kolei widać towar bednarzy, blacharzy i garncarzy, a za nimi stolarzy.. Nie ma nigdzie wolnego miejsca, tyle tylko co na wąskie przejście, bo jeszcze „wszędę, na wozach, pod ścianami, wzdłuż rynsztoków, rozsiadły się kobiety sprzedające; która cebulę w wiążkach albo i we workach; która z płótnami swojej roboty i wełniakami, która z jajkami, a serkami, a grzybami, a masłem w ośkach, poobwijanych w szmatki; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kurę, to len pięknie wyczesany albo i motki przedy miała”. A dziadów prośalnych, to wyciągających pieśni pobożne, to na skrzypkach grających.... Da się jałmużnę na modlitwę, coś się sprzeda, coś się kupi, ze znajomkami pogwarzy, naogląda różności. Zjeść też gorącego można, tam gdzie kurzy się z blaszanych kominów, a to kielbasę prażoną, kapustę czy barszcz z ziemniakami.

Już na jarmarku zaczął padać deszcz, a w następnych dniach plucha ogarnęła świat, „sży nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne”. Z prac polowych zostało zebranie kapusty. Cała wieś wyległa na kapuśniskach. Spieszą się ludzie z wycinaniem główek, bo to i pada, i dni coraz krótsze, że i w mroku trzeba robotę kończyć. A zagony kapusty nisko położone, w torfowiskach nad młynem, więc i wodę często trzeba z trębów wylewać, a wycięte główki w płachtach pod górkę do wozów nosić, bo w rozmiękły grunt nie da rady wjechać. Wreszcie kapusta zwieziona, „pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach, a jak u niektórych i pod

okapami siniaty kupy główek. Przed domami, wystawione na deszcz, mokły ogromne beczki”. W beczki te będą szatkować główki na ukieszenie, na całą zimę.

Tymczasem „nadszedł dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przeganiał zeschłymi bądylami, nie chwiał drzewami, co stały ciężko pochylone nad ziemią...”. W Lipcach od rana dzwony biją, wolno a bezustannie. Ludzie przyodziewają się świętecznie i wychodzą do kościoła i na cmentarz, składać ofiary i pacierze za zmarłych. W kościele w zakrystii organista i syn jego Jasio przyjmują na wypominki. Zapisują podawane imiona zmarłych, a



za każdą duszę biorą po sześć groszy albo po trzy jajka. W ciżbie tłoczących się ludzi, bo każdy ze wsi chce podać swoją litanie krewnych, znalazł się i Witek z Kubą. Chłopiec czuje się trochę nieswojo, bo „jakże, gospodarze sami, a gospodynie ino, cała wieś prawie, bo i młynarzowa w kapeluszu kiej dziedziczka, i kowalowie, i wójt ze swoją... a wszyscy patrzą na niego... to nasłuchują... przypominają sobie na głos dusze różne... i po dziesięć... i po dwadzieścia imion podają... za całą rodzinę... za ojców, dziadów i pradziadów...”. Wszyscy mają zmarłych krewnych, a on, sierota wzięty z miasta na parobczaka, nie zna ani imienia matki, ani imienia ojca. Żalność go wzięta wielka z tego, ale zebrał się w sobie i on, Witek, także daje na wypominki, mówi pierwsze trzy imiona, które mu przyjdą na myśl, bo „co ta mają wiedzieć, że nie ma nikogo... sierota to la siebie...”. Zapłacił z tych dwóch złotych, co mu stary Boryna dał w dzień jarmarku, i idzie z Kubą w głąb kościoła; tam na środku stoi katafalk z trumną, świece się pałą, ksiądz z ambony wypomina nieskończone litanie imion, a co przerwie, odpowiada mu głośnie pacierz mówiony przez wszystkich.

Długo trwały wypominki w kościele, a po południu cała wieś ciągnie jeszcze na nieszpory, które ten jeden raz w roku odbywają się w cmentarnej kaplicy; idą wszyscy, „by już tych świątków zażyć do cna”. Dochodzą powoli lipczaki do cmentarza i tam do beczek, poustawianych przed wrotami i pod

murem cmentarnym, kładą wyciągnięty z tobołka to „chleb, to ser, to zdziebko słoniny albo kielbasy, to motek przedzy lub tę przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek”. Wkładają to pobożnie, a jedna becza księża, druga organisty, trzecia kościelnego Jamrożego, pozostałe zaś dla dziadów prośzalnych przeznaczone. Imiona zmarłych krewnych i tu są wyszeptywane, a splatają się z litaniami i śpiewami żebraczymi. Dalej idą ludzie na groby, gdzie coraz więcej światełek migocze w zapadającym zmroku. Słyszą modlitwy szeptane, ale i szloch czasem się rozlega, i krzyk krótki a stłumiony, i płacz dziecięcy... „A chwilami opadało na cmentarz głucho i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posępnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żałości, biły ku niebu, w świat cały szły... - Każdy umiera! - wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból...”

Mrocznieje coraz bardziej, ciemno już prawie i Kuba z Witkiem, jak inni, strudzeni są obchodzeniem grobów,

modlitwą, rozpamiętywaniem i żałością. Noc zapada, ale nie wracają jeszcze do domu - idą w głąb, na stary cmentarz, na zapomniane groby, które do grobów już niepodobne, w gęstwinie roślinności zakryte, ze sterczącym gdzieś spróchniałym krzyżem. Tam Kuba wyjmując z zanadru parę kromek chleba, rwie je na kawałki, przykłęka i rozrzuca po mogiłach, szepcząc z przejęciem: „Pożyw się, duszo krześcijańska, co cię wypominam w wieczornym czasie, pożyw się, pokutnico człowiecza, pożyw się!”. Taki niedługo, przed snem, gdzieś w wsi gospodynie wystawią na przyźbę resztki wieczerzy, i żegnając się pobożnie, będą szeptać: „Na-ści, pożyw się duszo krześcijańska, w czyściu ostająca...”

Noc zapada nad Lipcami, a „wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, a gdzieś cicho, przez małe zapocone szybki błyskały światełka i płynęły ciche śpiewy pobożnych i głośnie modlitwy odmawiane za umarłych... Wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lęku płynął ten wieczór Zaduszek...

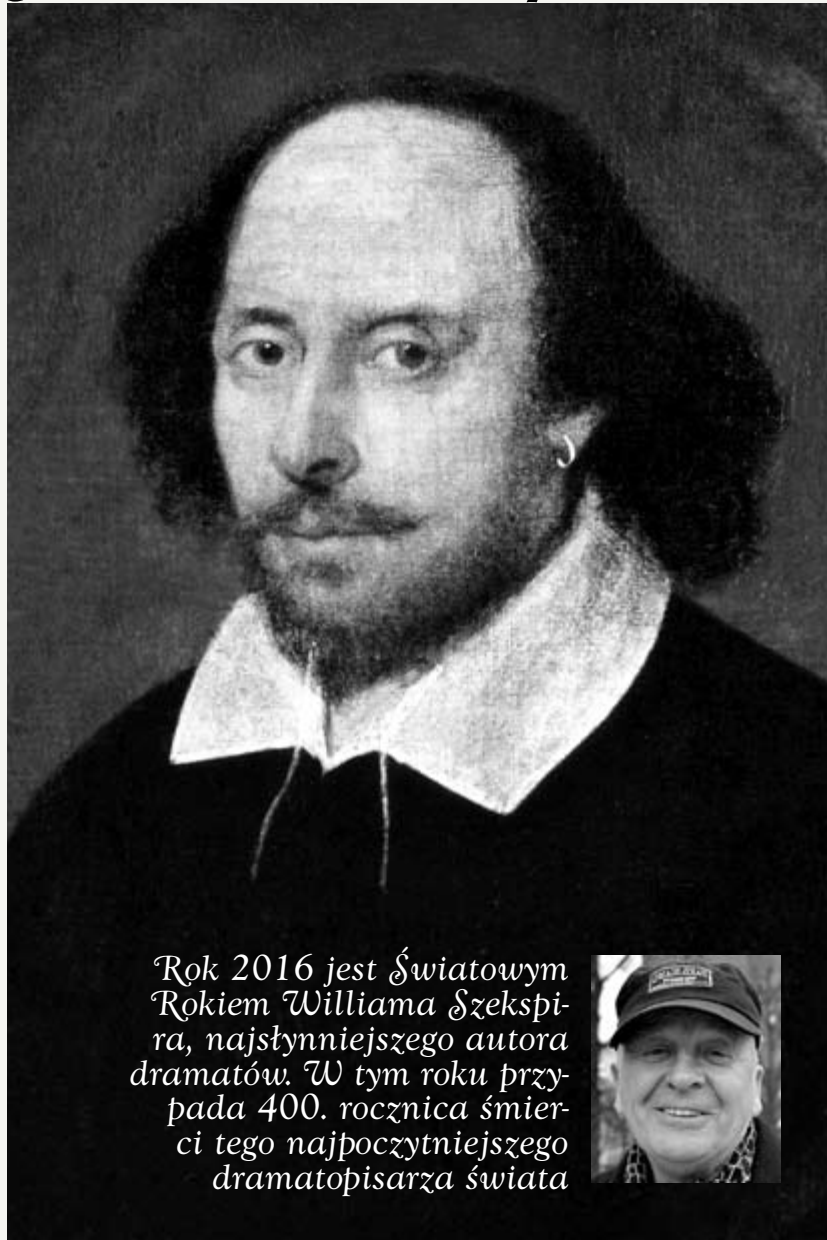
Jolanta Betkowska, Słupsk

Międzynarodowy Rok Szekspirowski

Cały kulturalny świat przypomina twórczość Wiliama Szekspira. Teatry zapraszały na wystawiane sztuki tego autora, równocześnie realizowany był międzynarodowy projekt The Hogarth Shakespeare, polegający na zaangażowaniu najbardziej lubianych współczesnych pisarzy w przekłady sztuk dramatopisarza. Jo Nesbo przełożył na prozę „Makbeta”, Gillian Flynn - „Hamleta”, Howard Jacobson - „Kupca Weneckiego”, Anne Tyler - „Poskromienie złościcy”, Margaret Atwood - „Burzę”, Tracy Chevalier - „Otella”, a Edward St Aubyn - „Króla Leara”.

Największym przedsięwzięciem w Polsce był 20. Festiwal Szekspirowski w Gdańsku (29 lipca - 7 sierpnia). Organizatorzy zadbali o wybitne szekspirowskie realizacje w wykonaniu teatrów z Polski, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Rosji, Izraela i Iranu. Gwiazdą był istniejący od 1984 roku brytyjski teatr performatywny Forced Entertainment, uważany przez wielu za króla performance'u i pioniera współczesnego teatru. Jego założycielem i dyrektorem artystycznym jest pisarz, reżyser, aktor - Tim Etchells. W Gdańsku, z pięcioosobowym zespołem zaprezentował on niezwykle, dziewięciodniowy projekt pt. „Dzieła wszystkie Szekspira”. Aktorzy zagrali trzydzieści sześć sztuk mistrza ze Stratfordu, każdą w godzinnej wersji, w oszczędnej scenografii stołu i przedmiotów codziennego użytku. Tradycyjnie festiwalowi towarzyszył konkurs o Złotego Yoricka, który z kolei był dla widzów okazją, by mogli zobaczyć najlepsze rodzime realizacje szekspirowskich dzieł ostatniego sezonu artystycznego.

William Szekspir urodził się w 1564 roku w miasteczku Stratford nad rzeką Avon, gdzie również spędził ostatnie lata swojego życia. Zmarł w 1616 roku. Oprócz tego, że był poetą i dramatopisarzem, to też wielkim aktorem. Żył w czasach Elżbiety I i Jakuba I, kiedy powstał teatr elżbietański. Pochodził ze średniego stanu, był synem małomiejskiego rajcy i matki wywodzącej



Rok 2016 jest Światowym Rokiem Williama Szekspira, najśłynniejszego autora dramatów. W tym roku przypada 400. rocznica śmierci tego najpoczytniejszego dramatopisarza świata



się z ziemiaństwa. Rodzice mieli ośmioro dzieci, William był najstarszy. Uczęszczał do liceum, w którym uczył się łaciny, historii, literatury antycznej i retoryki. W 1582 roku poślubił o osiem lat starszą Annę. W kilka lat później opuścił Stratford i udał się do Londynu. Tutaj realizował swoje dramaty na scenie, w których też sam występował jako aktor. Początkowo należał do kompani Sług Lorda Szambelana dysponującego własnym teatrem The Glob. Jednak najprawdopodobniej pracował w różnych magnackich rezydencjach jako guwerner i sekretarz, a także aktor w dworskich przedstawieniach. Biografowie wspominają, jak kolejno zdobywał sławę, poszerzał wykształcenie, wiele czytał, poznawał znanych ludzi.

Do rodzinnego miasta przyjeżdżał często, dbał o swoją rodzinę, a oszczędności inwestował w nieruchomości. Był autorem trzydziestu sześciu sztuk. Pisał też kroniki historyczne, komedie oraz tragedie. Najważniejszym, poruszonym przez pisarza motywem jest problem władzy, która jawi się w jego dramatach, kronikach i tragediach jako demoralizująca i niszcząca. Za najlepsze komedie Szekspira uważa się: „Poskromienie złościcy”, „Stracone zachody miłości”, „Sen nocy letniej”, „Wiele hałasu o nic”, „Kupiec wenecki”. Spośród tragedii należy wymienić: „Juliusza Cezara”, „Tymona Ateńczyka”, „Króla Leara”. Jego dramaty psychologiczne i poetyckie to: „Romeo i Julia”, „Hamlet”, „Makbet”, „Otello”.

Geniusz Szekspira polegał na tym, że od czasów antyku tragizm w jego utworach został wyrażony z taką siłą, że uzyskał nowy obraz sceniczny. Jego dramaturgię wyróżnia mistrzowski charakter ukazania postaci. Szekspir jest człowiekiem teatru „najgłębiej teatrem przejętego”. Jego zasadniczy motyw to sceniczne odgrywanie i ułuda, które są odbiciem świata. Odbicia te są konfrontowane jak przeciwległe lustra. Najlepiej przedstawił wielką rolę Szekspira w tworzeniu nowożytnego teatru nasz wybitny i wszechstronny artysta, twórca

dramatów - Stanisław Wyspiański w „Studium o Hamlecie”. Zawarł tam następującą myśl: „Była to najpełniejsza wizja teatru idealnego, w którym starał się odpowiedzieć na pytanie o istotę teatru”. Wyspiański zainspirowany Szekspirem w przeciągu kilku tygodni literacko wyreżyserował „Hamleta”. Uważał, że najważniejszy staje się aktor, bez którego „labirynt zwany teatrem” nie byłby poznany. Na swego przewodnika po tym labiryncie Wyspiański wybrał Szekspira. Pisał: „Szekspir żył w teatrze i dla teatru; teatrowi temu dawał artyzm i talent, dawał przykład jak delikatna może być granica między życiem a sceną, postacią i aktorem”. Wyspiański podporządkował realia teatralne myśli Hamleta: „wszystko bowiem, co przesadzone, przeciwnym jest zamiarowi teatru, którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest, służyć niejako za zwierciadło naturze”.

Przy ulicy via Cappello w Weronie (nazwanej tak od rodu, który Szekspir uwiecznił jako Kapuletów) pod numerem 23 znajduje się Casa di Giulietta (Dom Julii), gdzie wewnątrz na małym dziedzińcu Szekspir umieścił słynną scenę balkonową kochanków z Werony. Dom jest datowany na początek XIV wieku i doskonale zachowany. Podobno sam autor nigdy w Weronie nie był, tylko zaczerpnął wiedzę o istnieniu dwóch skłóconych rodach - Kapuletów i Monteków, które faktycznie w Weronie istniały. Ale już postaci Romeo i Julia są całkowicie zmyślonymi przez autora. Szekspir uwiecznił poetyczną tragedię młodościowej miłości, która jest do dzisiaj wzorem pierwszych, pięknie, rozkwitających uczuć pary kochanków.

Miłość Romea i Julii jest pokazana jako żarliwe uczucie godne przeżycia. Zwaśnione rody, z których wywodzą się werońscy kochankowie jednak nie żyją w pokoju. Dopiero w obliczu zaistniałej tragedii nastąpił akt pogodzenia.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Andrzeja Turczyńskiego zapisy o bardzo dziwnym miasteczku En



Nie mógłbym tu nie wtrącić: Z pisarzem, o którym mowa, zetknąłem się już w trakcie jego pierwszych prób warsztatowych w młodościowym wieku, AD (tak, tak) 1954 lub 1955. Później przez wszystkie lata bardzo uważnie śledziłem drogę twórczą „kolegi po piórze jr.” z kręgu lubelskiej Kamery

Piął się w świat Literatury (tej bez bałamutnej często emfazy) w zaskakującym wprost tempie. Jeszcze bodaj w roku 2006 doszukałem się u niego równo pięćdziesięciu wydawnictw zwartych z prozy, ale i poezji, eseistyki, dramaturgii, nb. utworów własnych, z pominięciem sporej liczby translacji. Dziś ten zestaw uległ zwiększeniu o blisko jedną trzecią (stricte 14)! W głównej mierze - warto odnotować - za



sprawą szczecińskiej oficyny FORMA, która patronowała bezpośrednio m.in. „Koncertowi muzyki dawnej”, „Zgorszeniu” (2011; a propos: „Koncert...” znalazł się wśród nominowanych do nagrody Gdynia’12), „Żywiołom” (2012), „Brulionom Starej Ziemi” (2013) oraz absolutnemu novum w serii edycyjnej KWADRAT (Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy), tj. ostatniej przed... będącymi w druku („Konwój” w I kolejności) książce Turczyńskiego „Brzemie. Powieść minionych lat”.

Czym jest wspomniany przed chwilą KWADRAT? Z credo grupy inicjacyjnej: - Literatura musi zmuszać do wysiłku. (Bo) kompetentny czytelnik wymaga takiej, która jest wyzwaniem, atakuje stereotypy, rewiduje poglądy, wstrząsa przyzwyczajeniami, budzi i zaspokaja głód intelektualny, wzmacnia chęć działania... sięga głębiej i dalej. Mówi nie tylko o świecie, ale także o literaturze. Nie tylko o czymś opowiada, ale także opowiada o tym, jak opowiada. Wyraża jednakowe ja i pozwala temu ja się narodzić; jest uległa wobec języka i jest buntem wobec niego; szuka w języku tego, co niejęzykowe, a zarazem wchłania to, co mieści się przed nim lub za nim. Bez względu na to, czy odnosi się do społecznej rzeczywistości, czy przechodzi obok niej obojętnie, bez względu na to, czy szuka inspiracji w zasobach świata wewnętrznego autora, czy w archiwach kultury, bez względu na to, czy godzi się z tradycją, czy nie - zawsze jest znakiem jedynej w swoim rodzaju osobowości twórczej.

Finis.

Miło przywołać fakt, że autor „Brzemienia” uplasował się razem z Arturem Danielem Liskowackim, Dariuszem Muszerem, Krzysztofem Niewrzędą, Pawłem Orłem i Leszkiem Szarugą w tzw. ścisłej czołówce trzydziestu czterech mistrzów pisarstwa „ze szkoły” Henryka Berezy. W niezbyt odległym sąsiedztwie - dodajmy - innych byłych lub dzisiejszych ziomków: Lecha M. Jakóba, Anatola Ulmana („Cigi de Montbazon” etc, etc!).

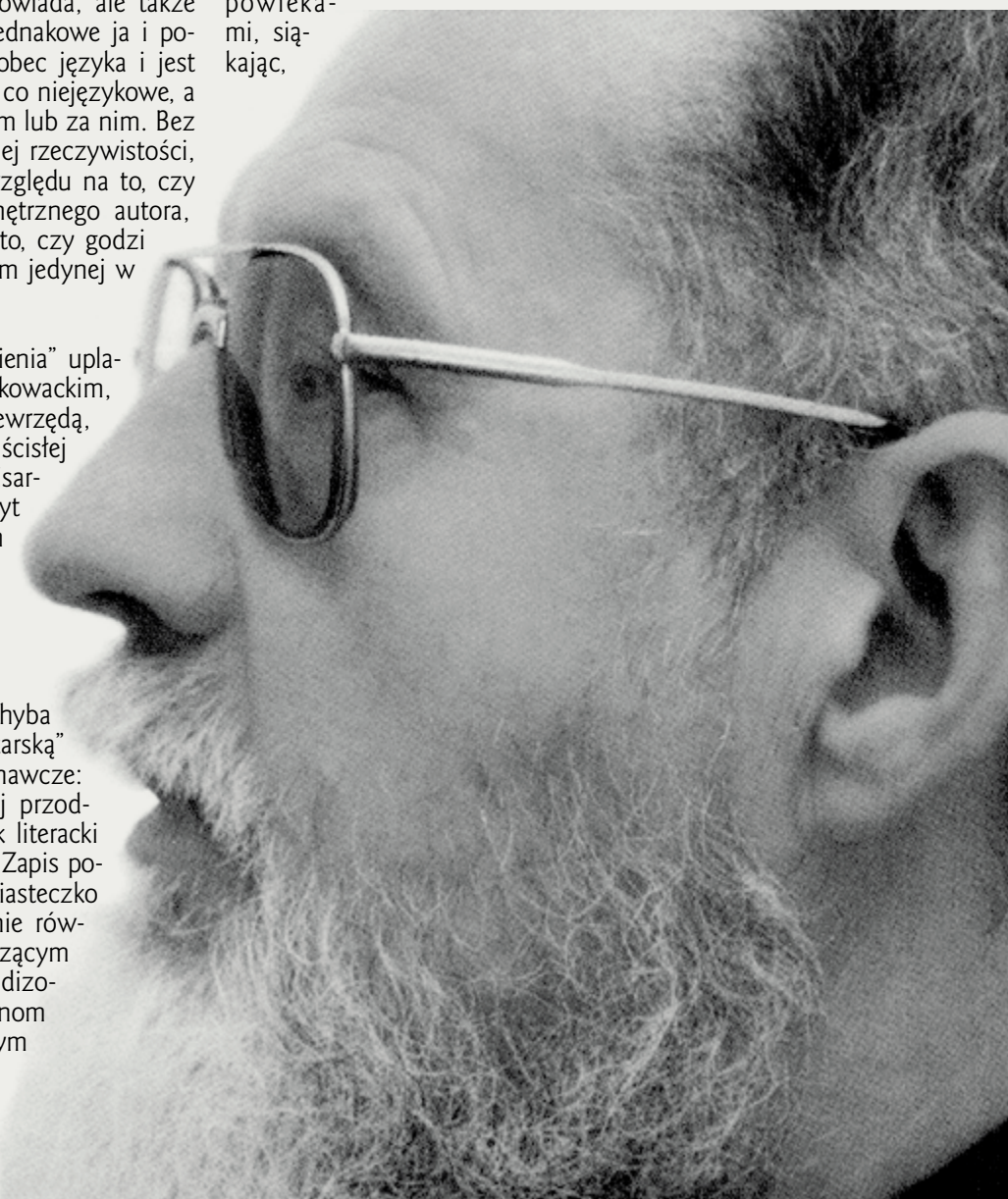
Quo ad rem. „BRZEMIE”. Najtrafniej chyba zrecenzował tę „pachnącą świeżą farbą drukarską” POWIEŚĆ MINIONYCH LAT (znaki rozpoznawcze: „Prolog. 1917”- „Epilog. 1989”; miejsce: kraj przodków Andrzeja T.) znakomity pisarz i krytyk literacki „w jednym”, Paweł Orzeł. Cyt. w skrócie: - Zapis podróży duchowej „do” i „przez” dziwne miasteczko En, w którym faktyczny zastój i skostnienie równoznaczne są z ciągłą rewolucją i niekończącym się cyklem końców świata. En w swoim odizolowaniu od otoczenia wciąż ulega przemianom w sferze czasu i przestrzeni, stając się tym samym furtką do innych światów-zaświatów... Fatalne perpetuum mobile. W tak złożonej rzeczywistości życia-wyroki odbywają ludzie zdeformowani, zagubieni gdzieś między typowymi rozmowami przy bimbrie a wyrafinowanymi dysputami teologicznymi (!). Rzeczywistość jest dla nich konglomeratem wspomnień, wizji, snów i przede wszystkim wrażeń dostarczanych przez rozchwiane zmysły. Taka konstrukcja jawi się jako przerażająca i fascynująca literacka Kunstkammer (z niem. „lustrzane obrazy”; JRL). Tekst-książka (w sumie) z wielu zawiłości i aluzji..., fantastycznych historii i również metafor lekcji czytania. Biorąc więc do ręki „Brzemie” należy o tym pamiętać, by nie stać się we własnym miasteczku En trybikiem mającym czelność myśleć, że żyje. Wtedy już nie

sposób będzie dostrzec całej misterności i cudowności tej literatury.

Moim zdaniem nic dodać, nic ująć. Ot i Turczyński co się zowie! Zwłaszcza jeśli Czytelnik - jak on przez studia i patrzenie na życie - zgłębił treść filozoficznych terminów: metafizyka, ontologia (sens bytu, egzystencji ludzkiej).

Może, gwoli ułatwienia lektury edytorsko-recenzentkich „przypisów”, fragment najnowszej powieści AT. Z epilogu „Jesion o złotych liściach na tle szafirowej chmury”:

Ci starzy ludzie na ławkach drobiący ptakom chleb, wysiadujący w oknach i na podwórkach, wygrzewający stołki pod nasłonecznionymi ścianami domów, ludzie zrodzeni do niewoli, codziennie, z leniwym niedowiarstwem, ledwo ciągnąc za sobą nogi, idą nad rzekę, aby tam, z brzegu - mrugając powiekami, siękając,



pokastując i chrząkając obserwować postęp robót przy odbudowie starej świątyni na błoni po drugiej stronie Suchej. Patrzą i patrzą, a co sobie myślą, nie mówią. Mówić - strach. Chociaż wiesz, kto stoi obok, to nie wiesz, kim on jest. To okaże się w godzinie próby. Pamiętają wszystko, co było i co się przysniło, ale milczą o tym, co zapamiętali, gdyż nie dowierzają swojej pamięci.

Późne popołudnie. Lekki wietrzyk nawiewa gorzki zapach palonych w sadach liści, suchych badyli i obumartych gałęzi.

Od Suchej ciągnie wilgotnym chłodem. Na horyzoncie, na granatowym tle lasu podnoszą się mgły.

Na brzegu rzeki mroczny tłum. Przed nim Czarna Świątynia, bo wzniesiona z głęboko smołowanego drewna, podobna do bryły węgla, onieśmiela i wzbudza niepokój, i natłok myśli trudnych do pochwylenia.

Właśnie pociągnięto za sznury, aby rozkołysać trzy dzwony podwieszone na potężnej ramie dzwonnicy i już ponad całą tę ziemią - ponad miasteczkiem En, ponad polami, łąkami i zagajnikami, ponad rzeką Suchą i jej dopływami, ponad dolinami, wąwozami i jarami, pod tą lśniąco cudownie szafirową chmurą, na cały świat i Wszechświat niesie się radosny, jasny dźwięk Dzwonów od Czarnej Świątyni.

Ludzie ściągają z nóg buty, skarpety, pończochy, podwijają nogawki spodni lub podkasują spódnice i jakby wiedzeni czarem wchodzą do rzeki, idąc przez nią najpierw gęsiego, aby już po chwili zbijać się w gromadki, brną przed siebie w milczącym skupieniu na spotkanie z nieznanym, dotąd niewidzianym Bogiem.

Dzisiaj mają Go poznać; tego wieczora objawi się im w całej swojej okazałości, mocy i cudowności niby jakiś Król ze złota lub baśniowy Cesarz i Wielki Książę - w złotych szatach, koronie, z berłem, siedzący na obłocznym białym albo czerwonym koniu ze złotą grzywą i ogonem, z rubinowymi ślepiami. Niektórzy byli omal pewni, że objawi się im jako błyskawica.

Jakkolwiek zresztą będzie i cokolwiek się stanie pewne jest, że przeżyją coś niezwykłego, coś, co ich uskrzydli i wyrwie z szarzyzny życia i w każdym sercu rozbłyśnie słońcem, zaś na miasteczko En zstąpi Anioł Żywota, aby odmienić jego duszę i duszę tej ziemi - Duszę świata.

Tłum wokół świątyni gęstniał z każdą chwilą, robiło się coraz ciemniej, ale było jasno. Bo na niebie wciąż wisiła szafirowa chmura, tak przezroczysta, że widać było przez nią teraz skrzące się, pulsujące światłem gwiazdy, a pod szafirową chmurą niezmiennie płonął złotymi ognikami liści Prastary Jesion, drzewo od dziś mogące sobie pozwolić na śmierć.

Pośrodku absydy stareńki, poczerwieniały ołtarz - noszący ślady złoteń, zdobiących go rzeźb i malunków - skupia uwagę obecnych w malej, wypełnionej nimi tak ściśle jak jabłko granatu pestkami, nawie kościółka.

Wciśnięty w kąt kruchty Chłopiec przysiadł na krótkiej, wpuszczonej w ścianę ławeczce i zasnął. Nie widziano go zresztą zbyt wyraźnie - może był tylko swoim cieniem, plamą, obłoczkiem kurzu.

Tak czy inaczej jeszcze przed nastaniem nocy, całe miasteczko En było pod kościółkiem. Nie brakowało nikogo, bo nawet obłożnie chorych i kalekich przydzwigano tutaj aktem zwyczajnej w takiej sytuacji solidarności: nosze, taczki, prymitywne dwukółki, krzesła, a nawet łóżka otaczały Czarnej Świątynię, z której wnętrza przez wąskie okna biło światło ogrzewające tę coraz zimniejszą listopadową noc.

W jego niezwykłym blasku gorzały jarzębiny, owoce głogów i dzikich róż. I tyle. Działo się wiele, a jednak wedle oczekiwań nic się nie działo - nie było ani uzdrowień, ani objawień.

Pod koniec szybko postępującej nocy ludzkie nadzieje i euforia przemieniały się kolejno w zniecierpliwienie, zawód, w irytację i złość.

Nie objawił się Bóg w żadnej Osobie, nie sfrunął Anioł, umarłych nie odstępowała Śmierć, a nawet okazało się, że pod kruchtą dokonała swego nędznego żywota stara, pokręcona na ciele i rozumie Antosia Cebula.

Kiedy się rozwidniło, wokół Czarnej Świątyni zalegało już tylko rozdeptane błoto, śmieci i pogubione w ścisłu różne drobiazgi: pantofle nie do pary, szaliki, okulary, chustki do nosa, a nawet kapelusz i laska z rączką z kości słoniowej.

zima 2001 - lato 2007

Ślupsk (dop. JRL)

Co niezwykle ważne: „Brzemie” pomieścił wydawca w urzekającej doprawdy szacie graficznej. Jak zwykle, majstersztyk plastyczny (tym razem Piotra Pasiewicza), fotograficzny (Henryk Maćkowiak), no i „oprawowy” (Paweł Nowakowski). Z obszernymi zapisami nt. Kwadratu, publikacji recenzenckiej P. Orła, curriculum vitae bohatera nin. szkicu i - nie tylko.

Jerzy R. Lissowski, Ślupsk

PS Szczerze gratulujemy Wydawnictwu, a Czytelnikom życzymy miłej lektury zarekomendowanej książki!

Andrzej Tureczyński: „Brzemie. Powieść minionych lat”, str. 140, Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzeczce 2016.

Braterstwo poetów



Nie znałam. Nie wiedziałam. A to niemal krajan. Zupełny młodzik, rocznik '87, a już autor trzech, przepraszam, czterech tomików wierszy: „Wpół do wiersza”, „Nie polecam nas bogom”, „Wybrane” i ostatni z 2016 roku wydany przez Fundację Oko - Licę Kultury zatytułowany „Cwierć wieku według Anny. Wyrazy i ekfrazy”

Oczywiście, opowiadam o Mateuszu Bruckim, poecie urodzonym w Starogardzie Gdańskim, który w ostatnim tomiku zamieścił na stronie 53. wiersz pod tytułem „Pieta polska” dedykowany Jerzemu Fryckowskiemu, wiersz wyraźnie nawiązujący długim wersem z wyraźną stopą, średniówką, parzystymi żeńskimi rymami, apostroficznym monologiem, anaforycznie budowanym dystychem do melodii „Elegii o chłopcu polskim” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

*„nie oddzielą nas syneczku bośmy z jednej gliny
która dawno już wyrosła nad sękatę czyny
nie wytropią twego bólu pod kamienną skórą
skoro w sobie potrafimy nosić go oburącz
skoro ziemia w polsce z chleba jest zaiste naszą
nie podejdą żeby dotknąć ran mojego płaczu*

*nie przyniosą z wysokości nam cholemej biedy
która w czarny proch obróci nasze serce z kredy*

*nie powiedzą gdzie osiągną granice litości
skoro imię twoje synku rozpięli na oścież*

*skoro myślą niech nie myślą że za tobą zginę
póki z twojej potylicy jeszcze polska płynie”*

Bardzo podobnie w „Elegii”? A wybór świadomie przywołany, z wyraźną symetryczną antytezą. Inny czas i realia rzeczywistości, ale wnukowie też noszą tamte rany zapisane w narodowej pamięci wierszami wojennych poetów. Nie ma możliwości wymazania mrocznego czasu i kolejne pokolenia na swój sposób odniosą się do tamtych zdarzeń. I nie jest to jedyny kontekst w wierszu młodego poety. Mateusz Brucki potrafi jednym leksemem, trafnie wybranym słowem przywołać żywe mity narodowej świadomości. Jest w jego „Piecie polskiej” niewyrażony wprost hołd ofiarom Katynia, jest odwołanie do Mazurka Dąbrowskiego, jako zapewnienie niedaremności ofiary.

Motyw relacji Matka - Syn znany jest w polskiej literaturze w zasadzie od jej początków, a to za sprawą „Bogarodzicy”. Topos Matki Polki składającej najwyższą ofiarę ukształtowany w romantyzmie stanowił podstawę mitów budujących świadomość narodową. Podjęli go poeci pokolenia Baczyńskiego, teraz wraca w nowym poetyckim sztafażu z taką samą żarliwością wobec spraw narodowych.

„Zanurzenie w historię z pozoru przeczy założeniom debiutów lat dziewięćdziesiątych poszukujących „korzeni poetyckiej wspólnoty w prywatności, jednostkowości, osobowości czy autobiografizmie. (...)” - pisze Joanna Orska w „Republice poetów” (str. 277), dodając jednak - w odniesieniu do poezji Piotra Sommera, którego twórczość analizuje - że „teraźniejszość to permanentny stan żywego poetyckiego języka”. Przyjmijmy ostatnie zdanie w sposób uogólniający. Teraźniejszość, zarówno języka, jak i rzeczywistości nosi w sobie ślady przeszłości, nie sposób pozbyć się historycznego płaszcza i poezja stara się ukształtować go tak, by przystawał do współczesności, także w językowym odbiorze. Mimo marginalności poetyckiego głosu, próbuje ustanawiać aksjologiczne kotwice dla żywiołu, jakim jest narodowa świadomość w ponowoczesnych czasach, formułuje je w nowy językowo sposób. Mateusz Brucki, młody poeta, poszukuje własnego języka poetyckiego. Buduje zachwycające metafory, często jednak wchodzi w słowne gry z utrwalonymi w kulturze poetyckiej zwrotami znanych poetów, jak choćby wezwaniem z wiersza „Poeta bez serca tonie w akwareli”, przywołującym Herbertowe imperatywy „Pana Cogito”:

„bądź czujny
gdy zaczniesz upływać oddechu jak w pacierzu
(...)
bądź czujny wzorem ptaków w rzetelnych zegarach (...)

Poetyckie braterstwo Mateusza Bruckiego i Jerzego Fryckowskiego wynika z współczesnego - humanistycznego oglądu zdarzeń, poszukiwania dla nich nowej poetyki. Zdarzenia okazują się matrycą czasu, nakładają się porządki - religijny i historyczny, porządek sacrum i profanum, dawny i współczesny, wzajemnie się uzupełniają w poszukiwaniu sensu współczesności. Dedykacja „Piety polskiej” Jerzemu Fryckowskiemu wynika z pokrewieństwa motywu. Jerzy Fryckowski w „Liście Jerzego Popiełuszki do matki” pisał:

„Matko
Zawsze ci mówiłem
Że Golgota leży nad Wisłą
Zamiast dzidy kłuje mnie w bok esbecka pałka
Na ocet już ich nie stać”

Historyczny wątek Mateusz Brucki podjął również w innych wierszach, jak: „Pojednanie” czy „Wigilia na Syberii”, czerpiąc inspiracje z malarstwa Grottgera i Malczewskiego. Poetyckie ekfrazy zajmują w tomiku „Czwierć wieku według Anny” miejsce szczególne, dlatego omówię je w osobnej części.

Tymczasem warto wrócić do wiersza „Pojednanie” inspirowanego obrazem Artura Grottgera z 1864 roku przedstawiającego scenę z powstania styczniowego - krajobraz po bitwie.

Na pierwszym planie w centrum na białej płaszczyźnie śniegu rozjaśnionej promieniami przebijającymi się przez chmury leżą złączone dwa ciała: żołnierza w mundurze rosyjskim i powstańca. Jeszcze przed chwilą byli wrogami, walczyli na śmierć i życie. Śmierć ich pojednała. Mateusz Brucki tak o tym pisze:



najdłuższą rzeką świata krew
najbardziej pustym polem bitwa
gdzie kwitnie pośród ludzkich plew
zaschnięta w gardle lat modlitwa

gdzie skrzydła z nieba wierzą w zer
z ochłapu na kropelce śniegu
gdzie wiatr sosnową rzeźbi śmierć
by trumny nikt z nas doznać nie mógł

bez imion duchów i bez dróg
leżymy twardo pojednani
jak nas nauczył polski bóg
i małowówny bóg rosjanin

Motyw pojednania wrogów przez śmierć nie jest nowy w literaturze, a podjęcie go przez młodego poetę nie wydaje się przypadkowe. Przywoływana już Joanna Orska pisze: „Odnosząc się do przemian w literaturze związanych z latami dziewięćdziesiątymi, powtarzamy zwykle za Marią Janion wieszczącą upadek paradygmatu romantycznego, że po osłabieniu intelektualno-ideowej więzi komunikacyjnej, powiązanej z romantyczną historią walki o niepodległość (...) ważny wspólnotowy dyskurs polskiej współczesności (...) utracił (...) swoisty mandat społeczny, a głosy literackie znalazły się, podobnie jak inne dyskursy formujące przestrzeń debaty o społeczeństwie, w bezhierarchicznej sytuacji wolnorynkowej konkurencji.” (s. 40)

„Polityczność” wpisana jest w tekst poetycki jako obraz współczesności, który poeta kreuje w historycznym kostiumie. Nic nie jest bezcelowe, każda strofa wyraża poetyckie „teraz”, stan świadomości w chwili tworzenia. Za Joanną Orską warto nawiązać do słów Tadeusza Komendanta, że ojczyznę trzeba sobie opowiedzieć „by się w niej znaleźć, by ją odbudować lub na nią zasłużyć.”

Trud opowiedzenia ojczyzny na własny prywatny użytek z możliwością wejścia na społeczną agorę podjęli przywołani poeci - Mateusz Brucki i Jerzy Fryckowski, pozostając poza wielkim nurtem literatury, co nie znaczy, że mniej ważnym. Wszystko bowiem zależy od „bezhierarchicznej wolnorynkowej konkurencji.”

Czesława Długoszek, Objazda

wiersze najnowsze

Małgorzata Beskoste, Słupsk

W RYTMIE DNIA

Byłam dziś przez chwilę prawie sobą
jedną nogą
tańczyłam w zapomnieniu nad obiadem
drugą nogą kotysałam
do snu stare ambicje
Oj nie ma już czasu na świst
wzdychania
dzień się już kończy
choć jeszcze w pieluszcze
tańczyć można w marzeniach
ale czas jeszcze na to
Teraz trzeba krzyknąć ze złości i odkurzyć,
wziąć stertę prania, porozwieszać w pamięci
(byłe je ściągnąć i nie zapomnieć)
podlać kwiaty i łyżę zostawić na potem,
wyprowadzić dziecko i nakarmić psa
Dzień się nie kończy
on nagle znika jak znikają klucze,
kiedy wyjść z siebie najdzie ochota
a gdy zechcesz wrócić
wisi już tabliczka

SZUKAMY ZASTĘPCY

I wtedy idę w świat gdzieś gdzie szukają
niezdamych, naiwnych, wrażliwych artystów
w podartych rajtuzach
z groszkiem przy duszy
na osle zwanym Nadzieją

LUSTRO

Czas mija, gdy ptak co wyklął się dopiero
dziś zatacza kręgi niby puch dmuchawca
Krzątam się w stercie trosk i problemów
marząc, że odleć w warkoczem latawca
Zwałpiłam, jak gałęzie, które tamie burza,
tak i mnie stłuczono na drobnice,
gdy złożono ponownie, to na obraz tchórza
Wiatr porwał moje żale, zabrał tajemnice
Nie ma mnie dziś takiej, jaką byłam wiosną,
choć oczy błękitne, nie ma w nich już ptaków
Poznałeś mnie wczoraj piękną i radosną,
dziś jestem odbiciem pragnień twych i braków

Emilia Zimnicka, Izbica

W SENNEJ CISZY

W sennej ciszy późnego lata
Pod zieloną pochyloną wierzbą
Usiadły
Ptaki moich marzeń
Mają białe-czarne kształty bociana
Głos jaskółki

Szept skąpanej w rosie trawy
Przeglądałam się w nich
Jak w leśnym źródle
Szukając zagubionych kluczy
Do ich spełnienia

WIECZORNE MODLITWY

Ciemnym wieczorem puszczyk na dębie
odmawiał głośnie modlitwę
Dziwną, ostrzegawczą
Słuchała jej mała sowa
dziki kot
A pod kwitnącą dziewanną uklękała
mała mrówka
Z odległych Głównic
głos dzwonów wzywał
na wieczorną modlitwę
stadko jaskółek

Henryk Czyż, Bytów

BÓL CHORAĞIEWKI

Nadzwyczajnie
starszerek kocha
chorağiew Polski

Był czerwiec
Polska pojaśniała -
futbol we Francji

Oto czar -
ludzie wieszali na autach
na balkonach
biało-czerwone sztandary

I pełnymi garściami
niebios rozgorzały
A szalejący wicher
urwał z dachu
policzki proporczyka
Tę barwę deszcz miotał
po ubitej szosie

I niejeden człowiek
mknął bez przerwy (tam i nazad)
a jego jęku nie spostrzegł

Nie wytrzymało serce starszaka
Chwycił krew z białą
i przymocował płaczącą flagę
do frapującego drzewa
Wówczas głos
ożywił Polskę!...

Zdzisław Opałko, Słupsk

GARDEN PARTY U KAROLA

przed pomnikiem Karola
Szymanowskiego
w parku imienia Jerzego Waldorfa
stoją drzewa i ludzie
zielona oaza w labiryncie ulic
na chwilę koncertu oparła się odważnie
zgiełkowi codzienności i neurozie pośpiechu
niczym Reduta Ordona

nikt nie zawiódł nie przeszkadzał
w ożywionym przez muzę spacerowym zaulku
wigor straciły tylko aktualne śmieszności:
ptak przestał gadać do raka
mrówkolew udawać lwa...
zestroiły się nuty z szumem miasta
jak ciepłe lato z pogodą serc
artyści słuchacze i łaskawa natura
dzielili się owocami talentu i żmudnej
pracy z nadzieją
- gdy już wszystkie oklaski uniosą się do nieba
na ziemi pozostanie trochę piękna...

zastuchanie... tak niewiele trzeba
kwiaty przystrojone życiem
drzewa kształtem zieleni
ludzie ozdobieni skupieniem...
pan Jerzy z panem Karolem nie kryją
zadowolenia
na wygodnym tarasie przy lampce wina
uśmiechają się z wysoka

Krystyna Wojewoda, Miastko

PŁYWANIE NA OKRĘTACH

Pływanie na okrętach - marynarskie życie
Port przystanią: tam dom, gdzie zarzuci
kotwice
Wyruszać na wody bezkresne, głębokie
Gdzie lśnią w blasku słońca jak karawele

Szacunkiem ogromnym obdarzać
marynarską dolę
Ona jedna najbardziej utęskniona
Mierzona milami, wysokością fal, burzami
znaczona
Prognozami głoszona w skali Beauforta

Jego żagle rozpięte jak ramiona kochanki
I wiatry przychylne rozwiane włosami
słonymi
Zapachem alg, krzykiem mew i rybitwy
Huraganem z błyskawicą, co łamie maszty

Pływanie na okrętach, to bycie i niebycie
Póki siła, dopóty wytrwanie
Port przystanią: tam dom, gdzie zarzuci
kotwice

2016 r. Takie jest mój bracie - marynarskie życie

Anna Boguszewska, Słupsk

ICH DWOJE, DWIE FILIŻANKI KAWY

na taras gościńca w Dolinie Charlotty
słońce zsyła promienie radości
ich dwoje, dwie filiżanki kawy
jak kiedyś zapatrzeni w siebie

długo wpatrywał się w jej oczy
srebrnawłosy przyciszonym głosem
z uśmiechem na ustach wyszeptał
tak sobie Ciebie wyobrażałem

los rzucił ich na chwilę
w to urokliwe miejsce na wodzie
odżyły stare wspomnienia
pielegnowane przez lata

jej zalotne spojrzenia
pobudziły pragnienia
z zażenowaniem wyznał
„za dużo bym chciał”

jesień życia, jesienną porą roku
ogrzały ich ciagle młode serca
na zawsze zabrali ze sobą
ulotne chwile i smak kawy

Jadwiga Michalak, Naćmierz

ODNALEZIONA MIŁOŚĆ

Warszawa przed wojną
Basia i Andrzej nastolatkiem
pierwsze spojrzenia zauroczenie

wybuch powstania walka w oddziałach
troska o życie przetrwanie
przerwana znajomość

Andrzej w niemieckiej niewoli
niemożność powrotu po wojnie
osiada w Stanach

Basia nad Wisłą układa życie
On szuka sposobu by Ją odnaleźć
Czerwony Krzyż znalazł odpowiedź

cenna w przeszłości pamiątka żyje
72 lata minęły jak sen
On jedzie spotkać się z Basią

młodzięńcza miłość rozgrzewa serca
Jego odnaleziony - Walc dla Basi
wzruszenie przenika do głębi

początek drogi - młodość i plany
okrucieństwo wojny przekreśla miłość
schyłek drogi życia - powrót do początku
brak tylko środka dojrzałego życia
można je wypełnić wspomnieniami

*na podstawie autentycznej historii

Lech Kamiński, Koszalin

OLBRZYMY

Za mym oknem rosną olbrzymy
swymi wierzchołkami sięgają pod chmury
gałęziami w takt wiatru powietrze głaszczą
to świerki sosny dęby i buki
w wieku już słusznym - mi wiercie

Pamiętają zdarzeń bez liku
dwie wojny przeżyły w swym kącie
gałęziami poszumiały lat jeszcze dużo
nie będą nam żałować pięknego widoku

Znam też innych olbrzymów
czwórkami w takt marszu właśnie odchodzą
drogą żołnierską prosto do nieba
w żołnierskiej postawie jak bohaterom

wypada

W oczach pozostały im jaszczce
tumany kurzu spod Lenino
kolor maków w najpiękniejszej czerwieni
i smród olejów z pięknej Normandii

Pamiętamy i tych wielkich
do cna przesiąkniętych zapachem ognisk
i lasów

Ojczyznę sławili nad życie
pytać o nagrody ani zaszczyty nie śmieli

Odchodzą olbrzymy czwórkami do nieba
co po nich zostanie pamięć czy też drwina
czy dalej morze kłótni ambicją pisanej
który z nich ma krew w czerwieńszym kolorze

Czy pieniądź stanie się przepustką do nieba

Małgorzata Wątor Słupsk

SŁONOWICE CZĘŚĆ II

W tej małej izbie była szkoła,
Parę ławek i krzesel
Sufit na ziemię leciał.
Budynek w końcu
został oddany do rozbiórki.
Zostały po nim tylko fundamenty
pachnące jak stare ubranie.
Gdyby nie cegielki wystające
Troszkę wyżej nad trawę to
Dawny budynek szkoły zniknąłby
z powierzchni ziemi.
Bujając się na sosnowym fotelu
Na czarno-białej fotografii.

STARY RYNEK W SŁUPSKU

O każdej porze roku
Na dachach budynków na starym mieście
Można było zauważyć lotniskowiec
wkurzonych gołębi

Gotowy do ataku na łby przechodniów.
Niestety
Całego tego stada nie można
Było zjeść z sosem i ziemniakami.

Gdy dzieci zbiegały się w centrum
One lądowały przy fontannie
ustawionej na środku miasta.
Ta, od zawsze tu stała
Jakby czekała na stopa.
W jej głębinach dzieci moczyły nogi
Następnie latały boso po placu
Gołębich gówen
Rozrzucając w biegu okruchy chleba.

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Czterdziestopięcioletnia kobieta,
która pogrzebała męża,
i swoje jedyne dziecko.
Podobna jest do jesiennej róży,
której płatki zaczynają więdnąć.
Przedwcześnie postarzała.
Nie chce opowiadać, co przeszła,
dlatego unika ludzi.
Osamotnione dłonie
z cienką jak bibuła skórą
drżą i nie dają się uspokoić.
Minęło piętnaście lat,
a Marcie brakuje Jacka i Kasi
coraz bardziej.
Ona na nic już nie liczy.
Całkowita cisza wypełnia pokój
i jej głowę.
Kobieta patrzy w ciemną pustkę.
Czuje powiew
wpadający przez uchylone okno,
ale nie jest w stanie
zaczepnąć oddechu.
Przestrzeń dookoła
wydaje się martwym obrazem
zawieszonym w próżni.

Znajomym przybijał głośnie piątki.
Wierzył w dobro i sądził,
że ocali w sobie
resztki romantycznej niewinności.
Zawsze starał się kierować sercem.
Wszystko się zmieniło
nie do poznania.
Jacek ma za sobą
trzy nieudane związki.
Dostrzega zmarnowany czas.
Utracił wszelkie iluzje
i wycofał się jak eremita
na pustynię własnego wnętrza.
Nie ma sześćdziesiątki,
lecz jest cholernie zmęczony życiem.
Wygląda staro.

Jego twarz porwana brudami,
z czerwonymi obwódkami wokół oczu.
Mężczyzna rzadko się uśmiecha,
a wargi ma stworzone
głównie dla papierosów.
Dziś znowu wymijają tłumy ludzi.
Jest upał,
powietrze drga epileptycznie.
Wierne słońce
nie daje za wygraną.

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

W WIECZORNYCH ZORZACH

płonące korony drzew
strumienie złocistorudych liści
spiętrzony krzyk żurawi

bez cesarskiego cięcia
rodzą się nitki babiego lata
purpurowe łzy berberysu

jesienne nastroje
i perły muzycznego wiatru
na szczytach liryzmu

ZADUSZKI

wymieniają plotki i newsy
burząc zmarłym święty spokój
i wieczny odpoczynek

po morzu chryzantem
snują się modlitwy
wyuczone w dzieciństwie

deszcz opowiada monotonnie
historie przerwanych życia
świat płacze łzami Boga i żywych

Andrzej Szczepanik, Bytów

NAWET W CISZY

Są we mnie jeszcze - karatami błyszczące
wspomnienia
tęskniące w zapomnianej gwarze - nie zdradzą
żyl będą w ich uściskach szczęśliwy
że moje usta wciąż potrafią nadać kształt
słowom

nawet w ciszy...
szczęśliwa część mojej przeszłości określa
to co inne

w ludziach doznaniach zdarzeniach
czego nie przypominam przez lata
czegoś co głęboko szarpie i rozciąga myśli
tworzy zmęczoną terazniejszość
skrzybi piórem i kleksem zdoła plesnieć
wnętrze

budząc w pamięci pełnej zmarszczek
poczucie żalu że czas mi to wszystko ukradł.

TOŻSAMOŚĆ

Ogród zdobił nasz dom
choć zaniedbany i smutny zapachem traw
żółty stadami mleczy srebrzysty lebiodą
pielegnowany wiatrem i deszczem
był mi zawsze przyjaźnie przytulny
odurzał intensywnym zapachem pąsowych
piwonii -
rozpychały się pomiędzy strzelistymi
malwami a szczeblami płotu
z furtką wiszącą na skrzypiącym zawiasie

odurzony obłokiem usypiającego aromatu
drzemałem na ławce z deski leżącej jak
kładka nad strumykiem
na dwóch ociosanych kamieniach
oparty o ścianę ogaconego słońcem domu
zamykałem oczy zamieniające ogród
w abstrakcyjny obraz
wyciągałem przed siebie bosc
sześćcioletnie nogi
podrapane posiniaczone i brudne
i marzyłem o skórzanych butach
z białymi sznurówkami
zawijazanymi na kokardki.

było cicho - jak na wsi wyludnionej
powojenną zrozpaczoną bezradnością
moja tożsamość stapiała się wówczas
z ogrodem
żeby przypominać się teraz we śnie.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

ZMĘCZONE LATO

Usiadło niczym staruszek z pełną miną
wieczornych zmarszczek
Garściami częstując pomarszczoną
jarzębiną rozbiegane spojrzenia
By już po chwili przykryć kocykiem
fioletowo słonecznych pieleszy
Wszelkie myśli popakowanych
nowiusek plecaków i tornistrów

Kotysanką wierszowanych zapachów
leśnych liliowych tarasów
Rozochociło do późnych spacerów
starsze oddechy młodości
Aż się zawstydziło niebo na widok
skradzionych pocałunków
Stęsknionych dotyków porannej
niepewności jutra

Ach jak nie kochać blasku ścigającej
kropki rosy podkolanówkowego zapachu
Kiedy jeszcze przedrzeźnia się radośnie
z zachrypniętym pianiem koguta
Czymcha wzrokiem spomiędzy

zapożyczonych kęsów przydrożnej jabłoni
Zimowych niedojrzałych kłócących się
o kolejność zdarzeń?

Kiedy się kładzie na spakowanej
walizce pierwszych jesiennych przetworów
Nikogo nie dziwi jego rozleniwione
kocie futro mruczące zadowoleniem
A gdy odchodzi w pośłótkę barwy sadów
posprzątanymi ziemskimi korytarzami
sfruwają skrzydła dożynekowych łez
zapachem wzruszeń pachnącego chleba...

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

SIERPNIOWA NOC

sierpień stanął na półmetku ociera się
o niebo nad ogrodem zapada noc
dom odpływa w sen
spod ciężkich chmur żółtego
typie oko księżycy
bezszelestnie snują się po pokoju
zmierzam ku oknu
przysiadam ucho do muru
mur nigdy nie śpi
słyszę z dołu na półpiętrze
klawiatwę szmerów minionych istnień
nieznany odgłos chóru dobiega z ogrodu
wokół okna sypialni jak bluszcz
pną się muzyczne głosy
sięgając dachu zabierając mi sen
czekam aż poranny brzask uciszy je
w niebie
sierpniową nocą śpiewa cały dom
skrzybią okiennice starego ganku
o parapet okna uderzają pierwsze
srebrne krople deszczu

Naćmierz 16. 08. 2016

Krystyna Pilecka, Koszalin

LOGICZNOŚĆ MIEJSCA

wgryzam się w nadmorski krajobraz
nasiąkam wilgocią bryzy
coraz bardziej porówna koncert
na muszle i wiatr
zamykam oczy i słyszę szum fal...
jak to jest że właśnie tu moje
miejsce na ziemi pośród
ufnego szeptu morza skrzeku mew
tkliwego zapatrzenia oczu w zmienne
kolory wody szlifującej przybrzeżne kamienie
i... wciąż czuję jak mało mi Ciebie
gdy wracam do czterech ścian
domu - mieszkania na ósmym piętrze
gdzie ślady stóp pustką straszą
ograniczoną szkłem i betonem

Czasem naznaczony bezgraniczną miłością



Podjąłem się próby opisania losów mego ojca Antoniego, nie mając tytułu historyka. Poznając coraz to nowe, niezwykle bogate, wielobarwne szczegóły z jego życia, obawiam się czy sprostim zadaniu. Zawdzięczam mu swoje życie. Gdybanie pozostawiam innym, ale faktem jest, że z ojcostwa mógł już zrezygnować...

„Czas znika, mija przeszłość, wiek niezwrotnie bieży, / A występków szkaradność lub cnoty przykłady. Te obrzydłe, te święte zostawiają ślady” - pisał Ignacy Krasicki w „Do ks. Adama Naruszewicza, o pisaniu historii”.

Słowo „miłość” unosi nas w krainę „ciepłej” wyobraźni. To człowieka „zaszufladkowanie”, jakby zasnuruowanie odczuwanej przestrzennej próżni. Dlatego miłość - odczuwanie wzniosłej kontestacji różnymi drogami chadza. Poutykana czasem znika za jego horyzontem, to znów powraca w innej skorupce, zmienia barwy, przeobraża postaci otoczenia i... wybucha snopem iskier pośród gwiazd; jest bezgraniczna i nieprzemienne twórcza.

Świat, w którym przyszło nam zaistnieć kołysze równie nieustannie. Odpowiednio - po ludzku - posiada swoją historię, która nie ma początku ani końca; po prostu utacza się w naszej pamięci, tzn. zapamiętuje się ją lub nie. Można przyjąć, rozważając geometrycznie, iż tworzą ją kolejne ogniwą naznaczone miłością bezgraniczną, scalającą w logiczny sens istnienia. Tu na planecie Ziemia, to człowiek poczuł moc nadawania tempa obrotu zdarzeń. Metodą prób, a przy tym popełniania kardynalnych błędów, przyjął rolę decydowania o swoich losach, o niepewnej i nieznannej przyszłości. Tylko nielicznym można przypisać wizjonerskie spojrzenie ponad miarę jednostki ludzkiej. Potrzeby dnia codziennego dyktują szarą rzeczywistość zaspokajania niezbędnych, egzystencjalnych potrzeb, czemu większość z nas ulega. Skonsolidowana społeczność utworzyła kręgi samorealizacji. Powstały sztuczne, rozpatrując to globalnie, granice współdziałania i drogi realizacji wybranych celów.

W ten sposób na określonych obszarach powstały narody jako rozróżnione rodziny, hierarchizujące oczekiwania w wyborze owych celów. Między tymi społecznościami, komunikującymi, jak nam się wydaje, w coraz doskonalszy i powszechniejszy sposób, z czasem narastały różnice samorealizacji, nabrzmiewały napięcia, rodziły się konflikty.

Historię tworzą ludzie. Paulo Coelho w dziele „Demon i panna Prym” napisał: „Historia jednego człowieka jest historią całej ludzkości.”

Podjąłem się próby opisania losów mego ojca Antoniego, nie mając tytułu historyka. Poznając coraz to nowe, niezwykle bogate, wielobarwne szczegóły z jego życia, obawiam się czy sprostim zadaniu. Zawdzięczam mu swoje życie. Gdybanie pozostawiam innym, ale faktem jest, że z ojcostwa mógł już zrezygnować, gdyż urodziłem mu się, kiedy miał blisko pięćdziesiąt lat. Za jego życia, kiedy przy Nim dorastałem, były między nami okresy porozumienia i niezrozumienia.

Wszak był rocznikiem zamykającym XIX wiek historii, czyli 1900-nym. Wówczas Polska wymazana była z map świata, a Polacy zamieszkali kiedyś na terytorium swej państwowości, „pogubieni” i przygnębieni na tych obszarach podzielonych pomiędzy trzech zaborców. Stosowna tu wydaje się myśl zawarta w cytowanym fragmencie z „Wojny peloponeskiej” - Tukidydesa, starożytnego autora: „Jeśli chodzi o słuchaczy, to dzieło moje, pozbawione baśni, wyda im się może mniej interesujące, lecz wystarczy mi, jeśli uznają je za pożyteczne ci, którzy będą chcieli poznać dokładnie przeszłość i wyrobić sobie sąd o takich samych lub podobnych wydarzeniach, jakie zgodnie ze zwykłą kolejną spraw ludzkich mogą zająć w przyszłości.”

Dzisiaj, kiedy widzę, jak kolejni veterani otrzymują urzędowe, mniej lub bardziej zasłużone zaszczyty, przed mymi oczyma staje mój ojciec, człowiek niezwykle skromny, prawy i pracowity, niezłomny. Jego życiorys byłby z pewnością pożywką dla niejednego autora scenariusza czy reżysera sztuki filmowej. I trzeba wielkiej wyobraźni i talentu, aby właśnie w taki nieprawdopodobny splot okoliczności uwikłać życie człowieka, zdawałoby się ponad jego osobiste możliwości. Jednocześnie tak sprząść je z szerokim społeczno-narodowym celem, jakim jest poczucie wolności i samorealizacji.

Zanim przejdę do „gołych” faktów ujawniających w miarę spójny obraz z życia Antoniego Grygiela, dodam, iż pomimo „kieratu” zdarzeń, potrafił w szczególnie sposób zanotować swoje przeżycia, spisać je i zebrać w postaci pamiętników, odręcznych wspomnień, zbioru dokumentów. Całość tworzy określoną spójność tamtych wydarzeń, a więc historię, odczuwaną i doznaną przez osobę w kontekście zbiorowości - społeczeństwa. Jestem pewny, znając osobowość ojca, iż dochował wystarczającej staranności i wierności owym faktom. W książce będę m.in. cytował określone materiały, bądź zastosowywać hierarchiczny, następujący po sobie ciąg zdarzeń przedstawiony przez mego ojca.

Cyprian Kamil Norwid pisał: „Historia jest siłą. Historię nie tylko stanowią wiarygodne zbiorowiska nagich faktów ale i pojęcia, jakie naród o swej własnej wyrabia historii.”

A sięgając do, jak na miarę człowieka, jeszcze raz do dalekiej historii, czyli starożytności, już Cyceon zauważył, iż: „Historia testis temporum, lux veritatis, vita memoriale magistra vitae” (Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia.).

Aleksander Kumar mawiał: „Dwoje z lekcji historii pisane są na skórze narodów.”

Piotr Grygiel, Jasień



Jan Stanisław Smalewski - wiersze

Z ODDALENIA

Już tam mnie nie ma. Zapomniały o mnie ścieżki, którymi wędrowałem bez celu. - Brak celu nazywano wtedy spacerem. - Dzisiaj mówi się, że to było błądzenie po manowcach.

Nie ma mnie w tamtej wiosce, ani miasteczku - nie wiem nawet, kiedy sen mi je zwróci. Zapewne ścieżki zarosły, z pewnością stare stodoły się rozpadły, a płoty przestały odgradzać.

Nic już nie jest takie samo. Niczego nie ma za remizą, jeśli takowa istnieje. A były tam niezłe uciechy. Głupimi szczenięciami zabawami nazywał je ojciec. Jeśli głupie było zapadanie zmroku,

jeśli podglądanie kąpiących się w stawie sąsiadek i jeśli szczenięcą była ciekawość ciała kobiety, jak teraz nazwać ciekawość braku wszystkiego, co odeszło. Czemu mnie nie ma tam w miejscu,

gdzie chętnie nadal bym bywał, za czym tęsknię, co mi się śni czasami. To znaczy tamta wioska, tamto miasteczko i tamta remiza z gwarem. I staw z nagością. I zmierzchy zakrywające to wszystko.

Naćmierz, 9.08.2016 r.

ZARASTANIE PAMIĘCI

Dokąd prowadzi ten trakt wyboisty? Dokąd podąża ten zapomniany szlak? Pędziliśmy na oślep, mijaliśmy wszystkich. Olimp nam się zdawał celem ponad każdy inny. Cośmy osiągnęli,

gdy skończył się nasz czas? Czym nas udekorowano, kto zapłacił za wszystko? Warto było zwyciężać, pokonywać innych? A może lepiej by było tak jak inni oglądać to wszystko i brawo bić tylko,

z trybun obserwować, z balkonów, z ulicy? W głównym nurcie płynąć, odbijać się od dna, by prądy nie zniosły nas na mieliżny. Uważać i cieszyć się wszystkim, co życie nam da.

Porażki też dane były naszym bliskim. Ile teraz znaczą te wszystkie odpryski? Ile ważą te troski gubione co dnia? Dopłynęliśmy do kresu drogi, dobiliśmy. Czeka tam na nas kto? Czy to tylko mgła?

Naćmierz 13.08.2016 r.

PYTANIE DO BOGA

Wierzyłem w Człowieka. Z wiarą trwałem długo. Niosłem ją przez życie jak ciepły dar Boga. Ogrzewała moje myśli, czyni i me dzieła. Czy coś z niej zostało, gdy skończyła się pogoda?

Pogoda na wiarę - wszyscy ją niesiemy. Podążamy w przyszłość, jakby w jedną stronę, ale wiara pęka, ucięta nożem jak pajda chleba, czerstwieje, wysycha, karmi dzikie zwierzęta.

Człowiek - co z nim się stało, że gubi się w sensie, że traci się w bycie i ginie w przyszłości? Ziemia - już jej nie kocha. Nie szanuje życia? Skazany na małość, stacza się w przepaść.

Naćmierz, 14.08.2016 r.

PORTRET MOJEJ MATAKI PORĄ WIECZOROWĄ

Co wtedy robi, gdy zmrok nadciąga, widać nad lasem pasma krwawej zorzy. Kot u jej kolan przeciąga się leniwie, a pusta szklanka o herbatę prosi. Nie ma już męża i najstarszej córki, z którą by codzienny odmówiła pacierz. Jest on - dzień, co się chyli ku wieczorowi, ku wszechobecnej, ku odwiecznej ciszy.

Nie ma wiewiórek, co biegały w parku, ani skowronka, co śpiewał nad miedzą. Nie ma pachnącej letnim kwiatem łąki, ani łanów pszenicznych, co pachniały chlebem. Jest tylko ławka, gdzie nikt nie siada, nad którą tylko czasem ptak przeleci. Ciepły pled, podnóżek i wysłużona laska. Jest tylko tęsknota za tym, co odeszło.

Naćmierz, 6.09.2016 r.

WSPOMNIENIE MOJEJ WSI

Były tam wierzby, strumień i podmokła łąka. Na mokradłach za domem wiosną kwitły kaczeńce. Wikliny pokrywały się puchem białych baziak, a tataraki ginęły w dywanach chłodnej mięty.

Potem te żółcie, ugry i sjeny palone przypalane słońcem zmieniały się w brzozy i soczyste zielenie. Konieczny wabiły trzmiel, a nad wodnymi liliami fruwały ważki i złośliwe bąki.

Tam się rodziła nostalgia, miłość i rozłąka. Tam żniwne snopy, dożynkowe wieńce. Korowody taneczne, napiwki, nalewki, miodne spadzie na ludowe święta i na wszystkich świętych.

Tam to wszystko było, upojne, szalone, rozkochane w czerwieni dojrzewania, w majestatu złocie. W strugach życiodajnej wody. I w biedzie, i w trosce. W upale ścierniska i zapachu łąki.

Naćmierz, 13.09.2016 r.



Film o Beksińskich

„Ostatnia Rodzina” to rozgrywająca się na przestrzeni dwudziestu ośmiu lat warszawska saga znanej rodziny Beksińskich, jest już w kinach od 30 września. Na 41. Festiwalu Filmowym w Gdyni Jan P. Matuszyński, reżyser obrazu otrzymał Złotego Lwa



Film ten otrzymał również Nagrodę Publiczności i Nagrodę Dziennikarzy oraz wiele wyróżnień. Nagroda Onetu - „Odkrycie festiwalu” powędrowała do Aleksandry Koniecznej, Andrzeja Seweryna oraz Dawida Ogrodnika - odtwórców ról. Nagrodę ELLE - Kryształową Gwiazdę dostał Jan P. Matuszyński. Nagroda Złotego Kangura - wyróżnienie australijskich dystrybutorów filmowych też powędrowała do Jana P. Matuszyńskiego - za reżyserię filmu. Na Festiwalu w Locarno za najlepszego aktora uznano Andrzeja Seweryna, odtwórcę Zdzisława Beksińskiego.

Jestem pod wrażeniem nie tylko tego filmu, ale malarstwa Zdzisława Beksińskiego, które od wczesnych lat 60-tych podziwiam na licznych wystawach. Śledziłem też na bieżąco powstające nowe obrazy z twórczej i wszechstronnej pasji tego wielkiego współczesnego malarza, który urodził się w 1929, a zmarł w 2005 roku. Z wykształcenia magister inżynier, absolwent Politechniki Krakowskiej Wydziału Architektury, był też fotografikiem, rzeźbiarzem i grafikami komputerowym. W 1959 roku, w rodzinnym Sanoku, w znanej fabryce „Autosan” podjął pracę na stanowisku plastyka w Dziale Głównego Konstruktora. Opracowywał projekty nowych nadwozi sanockich autobusów i tutaj ujawnił się jego artystyczny talent. Na początku jego pasją była fotografia, później rzeźba, rysunek, w końcu malarstwo. Malował obrazy wykorzystując różne techniki. Jego twórczość jest przejmująca, „elektryzuje” widza. Jego obrazy są utrzymane w atmosferze niepokoju, częściowo fantastyki, nastroju sennego koszmaru. Cechuje je niezwykła dbałość i perfekcja artystycznego warsztatu.

Wracając wiosną tego roku z Bieszczad spędziłem cały dzień w Sanoku na studiowaniu spuścizny malarskiej Beksińskiego, którą zapisał w testamencie tamtejszemu Muzeum Historycznemu. Muzeum to posiada obecnie największy zbiór jego dzieł. A najlepszym znawcą twórczości Beksińskiego jest Wiesław Banach - dyrektor muzeum, który był konsultantem scenariusza do filmu.

W 1951 roku Zdzisław Beksiński ożenił się z Zofią Heleną Stankiewicz. Z tego małżeństwa przyszedł na świat syn Tomasz Sylwester - anglista, dziennikarz radiowy, tłumacz m.in. dialogów z „Latającego Cyrku Monty Pythona” i z filmów o Jamesie Bondzie. Jego problemy osobiste nie mogły być

nieznane, chociaż były ukrywane. Był on ogarnięty manią samobójczą i w końcu doszło do tragedii 24 grudnia 1999 roku. Został pochowany w rodzinnym grobowcu obok wcześniej zmarłej matki.

Zdzisław Beksiński przez wiele lat wiódł samotne życie aż do swojej śmierci w mieszkaniu w Warszawie. 21 lutego 2005 roku został w bestialski sposób zamordowany na tle rabunkowym. Na tym kończy się tragiczna „Ostatnia rodzina” i tak też zakończyła się sanocka linia rodu Beksińskich. Pozostała jednak wielka twórczość artysty, która była wielokrotnie wyróżniana na krajowych i zagranicznych wystawach. Mimo że tematyka jego obrazów przedstawia głównie pesymizm i katastrofizm, starano się też w nich doszukiwać innych stanów emocjonalnych. Sam artysta o znaczeniu swojej twórczości tak kiedyś mówił: „Znaczenie jest dla mnie bez znaczenia (...)”



ja nic nie chcę powiedzieć, ani niczego przekazywać. Maluję to, co przychodzi mi do głowy. Mam takie sny, takie wizje i to przenoszę na płótno. Moim celem nie jest ani straszyć, ani niczego przepowiadać. Malarstwo służy do oglądania, tak jak książki są do czytania, a muzyka do słuchania, i tak należy je traktować.”

Zachęcam do obejrzenia tego docenionego wieloma nagrodami filmu, a także do zainteresowania się wyjątkowymi dziełami tego szczególnego artysty.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Magdalena z wyspy



Od kilku lat Magdalena nie pojawiła się już nigdy więcej w moich myślach, nigdy więcej nie usłyszałem również melodii towarzyszącej jej pojawieniu. Częściej za to niż bywało to wcześniej zachodzę do tego kościoła, gdzie pod posadzką, gdzieś w katakumbach spoczywa moja ukochana i wtedy, kiedy wnętrze kościoła wypełnia cisza, słyszę jej głos i słowa o jej wiecznej miłości do mnie

Dzień, jak co dzień, może trochę mniej pochmurny bez wyraźnych oznak dominacji złotej kuli, lecz w swoim założeniu taki sam jak każdy inny. Myślę o czasie, który upływa i paradoksalnie mając go w nadmiarze, często powracam nad brzeg leniwej rzeki, do błogiego stanu dzieciństwa. Niezaprzeczalnie, rzeka jest czasem, tym czasem zbyt niekiedy wartkim, pośpiesznym jak pociąg, który jednak pośpiesznym nie jest, bo jest tylko takim z nazwy. Jak w tamtej wodzie pełnej pstrągów, łagodnie obmywającej brzegi wysokiego koryta rzeki, porośnięte rachitycznymi pozostałościami jakichś roślin. Płynąca wysokim korytem rzeka rozzuchwała się i panoszy niczym wielka wodna połać, pełnią w majestacie prawdy niezbywalnej, zabierając, co cenniejsze bale drzewa wyrwane z lasu, zwierzęta, mosty, rzadziej ludzkie życie, choć i ono stanowiący na drodze nurтови niechybnie zostanie porwane. Rzeka jest również kobietą, tą łagodną i spolegliwą, a niekiedy żarłoczną, gdy grymas twarzy ostro przecina jej kontury i same usta, bez wiedzy umysłu, wypowiadają magiczne zaklęcie: Same shit, different Day. Oznacza to tyle, co oznacza: „ni mniej, ni więcej”. Tylko marazm podparty marazmem, lecz w jakimś bliżej niesprecyzowanym przekonaniu przynosiło to pewną ulgę, jakąś pewność, może tylko jej symptomy, że wreszcie wydarzy się coś szczególnego, coś, co pozwoli uwierzyć w przepowiednie o lepszym jutrze, coś, co pozwoli na własnej skórze dać upust stwierdzeniu o jakości następnego poranka.

W pracy czas biegnie nieubłagane, tłamsi nas i porywa, coś się zawsze dzieje i płynie, niezależnie od tego co nas otacza, w struktury czasoprzestrzeni. Gdy jednak mamy czas wolny, choć przychodzą tysiące myśli, planów, chęci, to i tak zawsze kończy się tak samo. Piwo, coś z lodówki i dzień upłyne na nierobieniu. Akurat ten dzień leniwił się bez końca aż wreszcie przyczłapał późny wieczór, czas rozmyślań, refleksji, podsumowań dnia, tygodnia. Zaczęłam wpadać w dół przysłuchany tym wszystkim. Zerwałam się nagle ze starego drewnianego krzesła, ubrałam w to co akurat było pod ręką. To przecież takie typowe dla kawalera - rzeczy osobiste zawsze są nie tam gdzie powinny się znajdować, powiedzmy w szafie. W obecności mężczyzny wyglądają jak pobożowisko. Wyszedłem zupełnie bez celu, idąc w świetle latarni miejskich minąłem kilku ludzi podobnych do siebie, zastanawiałem się, czy czują się podobnie? Czy mają podobne problemy? W ogóle, po co się szlajać po nocy? Do tego bez celu? Podczas dnia czas się leniwi, w nocy jest

odwrotnie, nim się obejrzałem było już po północy, a ja byłem daleko od domu. Idąc powoli w ciszy śpiącego Wrocławia dotarłem do Ostrowa Tumskiego - pierwszego miejsca, które mnie urzekło zaraz po przyjeździe. Ciasne uliczki, bruk pod stopami, za dnia przewija się tutaj kilkadziesiąt wycieczek ze świata, ale ludzie zawsze traktują to miejsce z szacunkiem i spokojem. Nie bez powodu ta wyspa nosi miano „małego Watykanu”. I tak przemierzając pustkę nocy, do moich uszu dotarły dźwięki fletu - zdziwiony przyspieszyłem? - Jak to jest możliwe o tej godzinie? - pomyślałem. Wyszedłem zza rogu ciasnej uliczki i zobaczyłem jak samotny człowiek siedzi przy moście Tumskim - gra zaczarowane melodie. Przez chwilę stałem jak posąg w miejscu, nie wiedząc, z kim mam do czynienia. Chciałem do niego podejść, ale się bałem. I wtedy podeszła ona, zjawiskowo piękna, zwiewna i chyba samotna tak jak ja. Przystanąła na tyle blisko, bym mógł słyszeć jej oddech, a raczej jego brak, by jej zapach przeniknął mnie i obezwładnił. Odezwiała się tym jednym rodzajem głosu kobiecego, który nieustannie napawa mnie ciekawością. Ten tembr głosu, jakby ze starych płyt Josefin Becker, Edit Piaf czy Sary Simone, a może tych wszystkich filmów opiewających historie miłosne Heloizy i Abelarda, Romea i Julii czy Tristana i Izoldy, w których kobiety mówią miękko, zmysłowo i tajemniczo zarazem. Jej głos był każdym brzmieniem z osobna i wszystkim po kolei naraz. Poprosiła o towarzystwo, o chwilę wspólnego patrzenia w ciemną dal, o sekundy urokliwych spojrzeń od niechcenia. Oglądała to wszystko wzrokiem jakby była tu od zawsze, jakby miała się z tym miejscem oswoić przez tysiące lat, a nie tylko przez jedno niewinne spotkanie. Mówiła o rzeczach i czasach, których nie znałem. Słuchałem jej z prawdziwą rozkoszą, każde jej słowo pieściło, choćby najbardziej zagadkowe, nie pozostawało w próżni, unosiło się jak lekka mgiełka, która już wkrótce zaczęła opanowywać to miejsce.

- Piękna noc, prawda, taka inna od pozostałych - powiedziałam.

- Tak - potwierdziłem i poczułem, jak jej głos zabiera mnie w te wszystkie miejsca, jak wypełnia mnie całego i zmienia jednocześnie. Jak dzięki tej kobiecie staję się lekki i mogę oderwać się od ziemi! Mogę szybować wysoko, gdzie każdy ruch ręką zmienia trajektorię mojego lotu w chmurach. W tej chwili mogłem być ptakiem i szybowcem i mogłem być letnim wiatrem zaledwie łagodzącym górskie zbocze, i mogłem być też chmurą deszczu przepływającego nad wyspą. Dzięki jej słowom widziałem więcej i czułem więcej. Wiedziałem już wtedy, że w tej kobiecie jest to coś, co przez całe lata starałem się odnaleźć w innych poznanych kobietach. Było w niej coś zmysłowego, i jeśli miałby nim być tylko zwykły sex, to na pewno znaczyłby więcej niżeli tylko zbliżenie dwóch ciał w zaspokojeniu żądz.

Opowiadała, a ja zazdrościłem jej wiedzy, elokwencji. I czy wtedy mogłem przypuszczać co może mnie spotkać? Zamyśliłem się na chwilę, odwróciłem głowę, odrywając wzrok od ciemnej wody i spostrzegłem, że nie ma jej przy mnie. Rozejrzałem się, aby się jeszcze upewnić, lecz nigdzie jej nie było. Wszystkie pytania, na które wcześniej nie znajdowałem odpowiedzi teraz przychodziły mi z łatwością. Dusza oraz umysł, zranione samotnym codziennym życiem, nagle powstały z upadku i odradzały się jak Feniks z popiołów, aby odnaleźć się raz jeszcze w czerni nocy i blasku miejskich latarni.

Powracałem do rzeczywistości zmieniony. Jeszcze długo potem stałem wpatrzony w mrok, kiedy melodia zamilkła odszedłem powoli w kierunku najbliższego przystanku.

Powróciłem tu następnej nocy, lecz nie spotkałem jej, nie usłyszałem również grajka.

W następnych dniach zżerała mnie ciekawość i podniecenie, układałem w myślach pytania, które jej zadam, gdy spotkam ją ponownie. Nadal nie wiedziałem, jak miała na imię i wyrzucałem sobie wszystkie gafy, które przy niej popełniłem. Być może chciała mi powiedzieć coś ważnego i zorientowała się, że nie jestem tym, w którym pokładała by sobie tylko znane nadzieje. A może nie chciała mnie splotać swoją zjawiskowością, swoim nagłym pojawieniem się i równie niespodziewanym zniknięciem. Minęło dziesięć dni, biegłem ile tchu, stanąłem zdyszany przy moście, grajka nie było, nie pojawiła się również ona.

- Co robić? - zadawałem w myślach pytanie, aż którejś nocy melodia rozbrzmiała ponownie. Przyszła, jeszcze piękniejsza niż przy pierwszym spotkaniu, chciałem coś

powiedzieć, lecz słowa rozbiły się o trotuar, zwyczajnie zbliżyła się i położyła swoją dłoń na moich ustach.

- Nie potrzeba słów kochany, tak będzie lepiej. - Obeszła mnie swoim czarodziejskim tembrem głosu.

- Powiedz mi, chociaż jak masz na imię? - zapytałem.

- Czy to ważne i tak niedługo o mnie zapomnisz - odparła.

- Jesteś niesprawiedliwa, dlaczego tak mówisz - powiedziałem i w chwilę potem poczułem smak jej ust.

- Magdalena de Cronac - powiedziała cicho, ledwo słyszalnie.

- De Cronac - powtórzyłem nie ukrywając zdziwienia, a nawet lekkiego rozdrażnienia.

- Tak, masz rację, to dzisiaj brzmi dziwnie, ale zapewniam cię, że był to znany rycerski ród w średniowiecznym Wrocławiu - odparła widząc moje zdziwienie i dodała:

- Jestem tą Magdaleną z tego portretu na zamku.

- Jak to? - zmroziło mi krew i o mało nie zemdlałem, przytrzymując się poręczy.

- Nie żyję mój kochany od przeszło pięciuset lat, a tam... - wskazała skrawek ładu porośnięty wysokimi drzewami - jest mój grób, którego nie odkryto do dzisiaj. Zostałam zamordowana, ponieważ byłam następczynią księżęcego tronu. Jedyńą, która mogła zmienić dzieje historii. Obce mi były układy z dworami w Niemczech, przeciwstawiałam się temu jawnie. Nie podobało się to niektórym polskim magnatom. A poza tym, w moich czasach kobieta samodzielnie nie mogła piastować tak wysokiej funkcji, więc mnie zgładzono, zakopując żywcem.

Pobladłem, lecz nie puściłem jej dłoni, trzymałem ją nadal kurczowo, choć powoli zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę trzymam wymagowaną kobiecą dłoń.

- Jak to możliwe? - udałem, że sprawa mnie obeszła.

- W taką noc, jak to wszystko jest możliwe?

- Ale twoje pocałunki, czuję dotyk twoich dłoni, czuję zapach twojej skóry i olejku różanego?

- To tylko twój umysł, mój kochanku. Tak bardzo byłeś samotny, że chciałeś mnie spotkać, a ja pragnęłam spotkać ciebie.

Przytuliła się i jakby dla potwierdzenia tych słów, przeszła przeze mnie. Moje ciało przeszył nagły chłód, lecz inny od tego, który znał mój organizm, gdy mróz wgryzał się w każdą jego część, mroząc stopy i palce. Nie bałem się tego chłodu, a nawet nieoczekiwanie go zapragnąłem.

- Tylko umysł chce przywołać tamte chwile szczęścia, gdy pieściłeś moje ciało, gdy posiadałeś je w całości, bez pamięci. W tamtą noc, podobną do tej, nad ranem w błogim śnie zostałeś zaszyty do trumny, a mnie skępowano i wrzucono w worze do dołu. Przecież to dzięki naszym rodzinom miał powstać największy ród na Śląsku, bano się tego, dlatego nas oboje stracono. Twoje ciało podrzucono obok gościńca do Legnicy i znaleźli je wieśniacy, podążający na targ. Twój ojciec, a potem stryj Mateusz prowadzili kilkuletnią krucjatę w poszukiwaniu zabójców, lecz nie wiedzieli, że tych prawdziwych mieli na wyciągnięcie dłoni podczas przygotowywanych uroczystości na zamku we Wrocławiu. Twój ród oraz mój przepadły bezpowrotnie.

- Chcesz mi powiedzieć, że znałem ciebie wcześniej?

- Tak. Czy sądzisz mój Piotrze, że dałabym się dotknąć innemu mężczyźnie? Tylko tobie przysięgałam dogonną miłość. Jesteś przecież Piotrem Szympułskim, synem Starosty Legnickiego.

- To nieprawdopodobne co opowiadasz, jak mam temu wierzyć? Nazywam się inaczej i wiem, kim są moi rodzice - zaprotestowałem.

- To tylko czas, Piotrze i nasza świadomość - odparła enigmatycznie, a potem dodała: - Czy nie rozpoznałam cię



od razu, czy nie podeszłam pierwsza, czy nie pocałowałam pierwsza? Serce w takich wypadkach się nie myli.

- Magdaleno, dlaczego właśnie teraz, dlaczego właśnie tu?

- Tego właśnie nie wiem, lecz jedno jest pewne, musisz mi uwierzyć, inaczej wszystko stracone.

- Co stracone? Magdaleno, przecież ja żyję, jak to możliwe, że upatrujesz we mnie swojej dawnej miłości?

- Bo jesteś nią. W najbliższych paru dniach wydarzy się coś, co powinno było wydarzyć się dawno temu, mój duch wreszcie zazna spokoju.

Zniknęła równie zwiewnie jak zwiewnie się pojawiła, a mnie przeszył smutek niewytłumaczalny, ciągnący się głęboko w trzewiach ludzkich istnień, tych losów tajemniczych, niewyjaśnionych, zagadkowej śmierci, tortur zadawanych często w imię Stwórcy, spreparowanych procesów sądowych, niweczających istnienie kilkupokoleniowych rodów, wielkich dworów książęcych obróconych w niwecz.

Będąc z Magdaleną nie bałem się niczego, i nawet rzeczy, o których opowiadała, mroczne, a dla mnie jakby surrealistyczne, nie wytrącały mnie z równowagi. Melodia umilkła, odwróciłem się i dopiero teraz spostrzegłem, jak sylwetka grajka powoli rozpytywa się w ciemności nocy. Przygarbiony mężczyzna powłóczył prawą nogą wspierając masywną sylwetkę na sękatym kiju. To dziwne - pomyślałem, że pojawia się wraz z nadejściem kobiety. Jeśli było coś, co mogło mnie przestraszyć, była nią właśnie pustka po zniknięciu obu postaci. Most wyginał się, balustrada pulsowała niebezpiecznie, coś ciągnęło mnie w dół, w stronę ciemnej wody, jak przy pierwszym spotkaniu. Pojawiające się znikąd światło przywracało właściwe proporcje. Dziś wiem, że była to moc Magdaleny, która chroniła mnie do pewnego momentu.

Dwa dni minęły na rozmyślaniach, trzeciego z przyzwyczajenia poszedłem nocą na most, było jak zawsze: pusto, smutno i przygnębiająco. Nie wydarzyło się nic. W pracy zataiłem wydarzenie, które mnie spotkało, pewnie nie do końca rozumiejąc powagę sytuacji. Kolejnego dnia, gdy nad miasto nadciągnęła armia granatowych obłoków, zapowiadając niechybne opady deszczu i wzmogoną pracę w restauracji, kolega podsunął mi gazetę ze zdjęciem wyspy piasku, pod którym znajdowała się lakoniczna notatka: „Podczas badań

archeologicznych na Ostrowie Tumskim odnaleziono grób ze szczątkami kobiety sprzed przeszło pięciuset lat. Szkielet nieznaney kobiety po koniecznych w tych wypadkach badaniach archeologicznych, docelowo spocznie w krypcie kościoła.”

Przerwałem pracę, wszystko w mgnieniu oka stało się nieważne. Chłopcy kipieli z wściekłości, w drzwiach dopadły mnie ich złe spojrzenia. Pognałem na most, ten sam, który w dzień wygląda inaczej. Jego otoczenie nie daje tylu wrażeń jak nocą w atmosferze pełnej tajemniczości, skąpanej w plejadzie światła, światełek, błysków wszelkiej maści, dalekich odgłosów miasta i tej ciszy, która zaręcza o niepowtarzalności tego miejsca.

- Odnaleziono twój grób, Magdaleno - to była pierwsza myśl, kiedy zobaczyłem głęboki wykop. - Obserwowałem w milczeniu, jak robotnicy przymykają wieko skrzyni, jak ładują na nieopodal zaparkowany samochód, i jak znikasz za horyzontem. Jak stajesz się tylko punkcikiem, jakąś cząstką niebytu, lecz los postawił mnie na twojej drodze po to właśnie, abym zaświadczył o tobie i opowiedział innym. O tym wszystkim chciałaś powiedzieć mi ostatnim razem, chroniłaś mnie aż do tego momentu. Na pewno chciałaś, abym widział twój tryumf, abym wreszcie uwierzył, że byłaś tą moją Magdaleną sprzed lat - powiedziałem cicho za oddalającym się samochodem.

Ale nazajutrz już nie byłem taki przygnębiany jak w chwili, kiedy wychodziłem z domu tamtej pierwszej nocy. Wiedziałem, że gdy tylko usłyszę melodię, pobiegnę tam znowu i spotkam ją, być może nieprawdziwą, zwiewną, przejrzystą, ale moją jedyną i przez to właśnie prawdziwą. Odtąd jestem pełen motywacji i pozytywnego nastawienia na kolejny dzień. Bo motywacja i nastawienie, z jakim wita się nowy dzień są kluczem do sukcesu, niezależnie od tego, co miałyby on znaczyć. Nie odnalazłem jakichkolwiek wzmianek o rzekomym powinowactwie z Piotrem Szymulskim, lecz dając wiarę słowom Magdaleny, nie wykluczyłem ich w ogóle. Nadal serwuję gościom wino, a nocą wychodzę na most, by w ciszy snuć opowieści o sprawach i rzeczach, o których inni nie mają przecież pojęcia. Moją misją jest miłość do ciebie, Magdaleno i pamięć o tym wyjątkowym miejscu.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Na podstawie pomysłu Piotra Lipińskiego z Piechowic.

Nie mam kota



Nie utrzymuję przyjaźni na siłę, wiele się rozleciało za jednym zamachem. Nie zwracam uwagi na markę koszulki kolegi, no chyba że zauważyłbym na niej brzydką plamę albo włos blondynki

Nie piszę niepotrzebnych wierszy, szkoda mi zachodu. Nie podstawiam swej gęby do zdjęcia. Nie upajam się filmem przyrodniczym, w którym lew goni biedną antylopę i w końcu ją ukatrupia. Nie czytam nudnych dla mnie książek, wolę pomęczyc się nad własną produkcją, ale nie taśmową. Nie umiem śmiać się na zawołanie, no chyba że chcę pokazać, że ktoś jest śmieszny na pokaz. Nie wyjadę samochodem do większego miasta, bo się gubię z nadmiaru wrażeń i może dojść do stłuczki. Nie rozmawiam z sąsiadami o byle pierdołach, ważne Polaków dyskusje stawiam na plan pierwszy.

Nie dziwi mnie chamstwo wszechobecne w naszym pięknym kraju, już tak się do tego przyzwyczaiłem, że wydaje mi się to normalne. Nie kupuję gazet ani czasopism, winny jest temu morderca internet. Nie oglądam po raz tysięczny komedii wszech czasów, dialogi zakodowane mam w głowie do tego stopnia, że w środku nocy zacytuję jakiś śmieszny fragmencik, na przykład z „Samych swoich”. Nie czytam dla psychicznego zdrowia, z jakich świństw wyprodukowano pasztecik. Nie dam się zaprosić do lotu samolotem, tę uwagę dedykuję podróżnikowi Wojciechowi Cejrowskiemu, z którym miałem kiedyś okazję porozmawiać, konsumując lody na patyku. Nie wyrwam sobie włosów z głowy, nawet jeśli drużyna narodowa odpadnie po jakimś ważnym horrorze.

Nie zapuściłem do tej pory modnej brody, chociaż reklamy, filmy atakują, choć mężczyźni ogłupieli z tym wszechobecnym zarostem. Nie produkuję wierszy na zawołanie, ale jakieś rymowane życzonka dla koleżanek z pracy, jak najbardziej mi wychodzą, coraz częściej jednak bokiem. Nie śpiewam piosenek nawet amatorsko lub po prostu w czasie gołenias, uszy mam uczulone na fałszywą nutę.

Nie czytam drugi raz tej samej powieści, pożeram następłą atrakcyjną papierową ofiarę bez żadnej męczarni. Nie piję już wody gazowanej, w ten sposób kaszel ode mnie uciekł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie jeżdżę

tam, gdzie masowo wszyscy w danej chwili jeżdżą, tłumom mówię stanowczo: nie! Nie potrafię biegać za przewodnikiem i upajać się kolejnym zabytkiem. Nie pozbawiam się szans na kumulacyjne miliony. Nie przejadę na gapę nawet jednego przystanku, boję się kanara jak jakiegoś żandarma. Nie słucham głośno muzyki, dbam o sąsiadów spokój i tego też od nich łaskawie oczekuję. Nie patrzę w oczy zakompleksionej staruszce. Nie dziwię mnie ludzkie maski. Nie daję się już sprowokować, co kiedyś było normą. Nie umieram z miłości, bo mógłbym dostać mdłości. Nie piję wódki ani nawet uśmiechającego się do mnie z reklam piwa. Nie gromadzę staroci. Nie widzę sensu w byciu wędkarzem, może jestem dziecinny, ale dla mnie rybka czy robaczek też płaczą.

Nie podejmuję bez konsultacji z żoną jakichś ważnych decyzji. Nie jest mi ani całkiem dobrze, ani całkiem źle. Nie lubię skupiać uwagi na sobie, coraz częściej uciekam w kąt czy jak kto woli - w cień. Nie wiem właściwie, kim jestem, dlaczego ja jestem ja - o rany, wskoczyłem w skórę filozofa! Nie potrafię kłamać na zawołanie ani za kogoś się podpisywać. Nie chodzę na basen, na siłownię, na ploty, ale i tak chodzę jak zegarek.

Nie przeszkadza mi nieporadność zdań, a nawet brak słów albo głupie milczenie. Nie staram się być szczególnie miły. Nie zgadzam się na wszystko. Nie wpadam w furję, nie ciskam przedmiotami, nie rozbijam szklanek ani Bogu ducha winnych talerzy. Nie krążę pomiędzy domami. Nie wyszukuję zastępczych tematów. Nie lubię grzebać w cudzych ranach. Nie pragnę młodości, długich włosów i głośnego śmiechu. Nie traktuję wszystkiego w kategoriach czarne-białe. Nie hoduję wrednych myśli, kielkują, ale nie dam się im ukorzenić. Nie pozbawiam się lęku i obaw. Nie podpatrzuję cudzego szczęścia. Nie udaję nadmiernego współczucia. Nie należę do osób przesadnie zorganizowanych. Nie udaję, że nie dzieje się nic złego, że wszystko jest po staremu. Nie wierzę i wierzę w cud. Nie podniecam się czymś rasowym pieskiem. Nie potrzebuję jak na razie pomocy osób trzecich i niech ten stan trwa do końca moich dni. Nie wyobrażam sobie życia bez czytania, muszę mózg gimnastykować, bo inaczej stanę się starym grzybem. Nie chwalę się, że gdzieś tam niedawno byłem.

Nie dam się nabrać na sztuczki. Nie przykładam zbytniego znaczenia do załotnego i nowoczesnego telefonu komórkowego, mam do tej pory tę samą starą komórkę i ważne, że to urządzonek działa. Nie cieszą mnie srogie zimy, myślę wtedy o biednych ptakach i sarenkach. Nie gromadzę książek na jedno czytanie. Nie jestem nałogowym i namiętnym kierowcą, choć mam prawo jazdy i samochód, częściej korzystam z pociągów i autobusików. Nie znam się na modzie i wcale tego nie żałuję, choć w tej dziedzinie na egzaminie dostałbym jedynekę, w najlepszym wypadku dwóję. Nie upominam się o pożyczone komuś dwa złote, zawsze myślę, że ta osoba ma usprawiedliwiającą sklerozę. Nie razi mnie głupota pięknej blondynki, razi mnie transparentna mądrość inteligentnej brunetki. Nie czytam kryminałów, trup w szafie nie dla mnie.

Nie piszę wierszy pod wpływem alkoholu, bo procenty wyczuwa się w takich wypocinach. Nie zabiję wielkiej muchy, która przypadkowo wpadła do mieszkania i chce z niego jak najszybciej uciec. Nie daruję komarowi, który prześladowa mnie w nocy. Nie chcę mieć już psa, bo wodobrusze Bobka było dla mnie zbyt skrajnym doświadczeniem. Nie znajduję

słów na ludzką podłość, ale próbuję coś skomentować, nie czując jednak satysfakcji. Nie potrafiłbym żyć bez mojej gospodarnej żony.

Nie rozstaję się już teraz z aparatem do mierzenia ciśnienia - moim przymusowym przyjacielem. Nie lekceważę długotrwałego kaszlu, bo to papierek lakmusowy stanu mojego zdrowia. Nie potrafię rozmawiać z niektórymi ludźmi, dlatego daję sobie w tym względzie: pas. Nie zapisałem się, mimo wielu szans i zaproszeń, do żadnej partii. Nie miałem w szkole dwójek ani trójek, tylko piątki, czasami czwórki do mnie się przyczepiały. Nie zostałem księdzem, jak chciała babcia Emilia.



Chciałem być dziennikarzem sportowym, jak Bogdan Tuszyński. Nie miałem kłopotów z napisaniem pracy magisterskiej na temat „Literatura sportowego faktu. Wybrane problemy”. Nie znam bardziej szczerzego kolegi po piórze niż był Janek Wanago, on mnie nigdy nie zdradził i potrafił pogratulować nagrody poetyckiej, dzwoniąc ze szczerego serca. Nie nudziłem się z Januszkiem, w pociągu w czasie naszych wielokrotnych literackich wypraw. Nie lubię takiego człowieka, który przede mną ucieka.

Nie lubię takich ludzi, których jakakolwiek sztuka nudzi. Nie lubię miejskiego hałasu, bo nie słyszę ciszy. Nie grozi mi bycie złotą rączką. Nie wiem, dlaczego cyrk ze słoniami to była dla mnie kiedyś wspaniała, realistyczna bajka. Nie wiem, dlaczego nikt mnie nigdy nie uderzył i ani razu się

nie pobitem. Nie zastużyłem sobie nawet na najskromniejszą śliwę pod okiem. Nie wiem, dlaczego dawni przyjaciele mają teraz mnie i moje pisanie w nosie.

Nie napisałem jeszcze wszystkiego o sobie. Nie wstydzę się szczerych, własnych słów. Nie wyobrażam sobie życia bez chudnięcia i tycia. Nie oszczędzamy z żoneczką na jedzeniu. Nie mogę ciągle się spieszyć, bo wtedy gubię klucze i rozum. Nie jest dla mnie żadną trudnością zabicie pięciu godzin w dworcowej poczekalni, doświadczenia wartownicze ze służby wojskowej procentują.

Nie wierzę, że sypiące się kolejowe wieże ciśnien stoją teraz szczerze. Nie muszę niczego kupować, do czego zachęcają mnie Leo Messi, Cristiano Ronaldo, a nawet swojak Robert Lewandowski. Nie muszę suszyć zębów, bo kabaret tak chce. Nie mam nic przeciwko disco polo, ale warstwa słowna tych piosenek mnie dobija. Nie życzę sobie stu lat. Nie lekceważę czasu i snów. Nie znam przepisu na wesołe życie. Nie znam faceta, a już wiem po gębie, co przeskrobał. Nie piszę już fraszek, ale i tak zainteresował się nimi publicznie (po dziesięciu latach!) rzygający w moją stronę poeta z dużego miasta. Nie mam dobrego zdania o prawdziwie historycznej, tak, historycznej! Nie piszę już tradycyjnych listów, zamieniłem listy na wiersze. Nie korzystam z promocji, no chyba że mnie jakaś atrakcyjna panienka przydusi.

Nie mam swojego ulubionego wiersza, bo każdy następny może być lepszy. Nie pracuję fizycznie, a w szkolnej bibliotece pocę się często, jak gdybym kopał rowy. Nie znam

wszystkich swoich sąsiadów w bloku, wiem tylko, że żyją. Nie zbieram niepotrzebnych papierów, a kiedyś kąpałem się w różnie wydrukowanych literkach. Nie siedziałem nigdy w liceum w ostatniej ławce, z powodu moich szerokich pleców koledzy woleli siedzieć za mną. Nie umiałem ściągać, dlatego miałem głowę wiecznie nabitą notatkami. Nie muszę mieć w szkole nadgodzin, ale muszę mieć zdrowie.

Nie choruję już od dłuższego czasu, ale lekarz rodzinny w sklepie się do mnie uśmiecha. Nie dałem się zaszuffadkować i teraz pewna kobietka ogłasza to całemu światu. Nie mam kota, wychodzi mi to na zdrowie. Nie wiem, dlaczego po dogrywce są rzuty karne, czyżby za karę? Nie poznał mnie koleś na ulicy, bo nie chciał poznać. Nie umiałem podrywać dziewczyn, zabierali mi te najpiękniejsze dobre koledzy z czasów kawalerskich.

Nie widzą mnie, nie słyszą, ale czytają i dlatego obgadują. Nie było za komuny źle, bo byłem wtedy szczęśliwym dzieckiem. Nie zmienił się mój podpis, o co moje stare palce nie mają pretensji. Nie pamiętam o wielu rzeczach, ale one się same do mnie przyklejają i odzyskuję wtedy pamięć. Nie wyobrażam sobie, żeby nie mieć trzecich zębów i być pozbawionym uśmiechu. Nie samą miłością żyję, ale i nie jedzeniem. Nie będę się już sprzeczał o jakieś pierdoły związane z celebrytami. Nie słucham ludzi chcących tylko gadać. Nie zawiodłem się w życiu tylko na psach, a od ludzi otrzymałem mnóstwo kolców.

Grzegorz Chwieduk, Kępice



Beata Mróz-Gajewska

- Kowalewo, gmina Szemud

Pracuję w szkolnictwie specjalnym, prowadzę w Kowalewie z mężem, rodzinę zastępczą specjalistyczną dla dzieci niepełnosprawnych. Jestem autorką dwóch książek dla dzieci: „Prawdziwie udane wakacje” i „Księżyc po drugiej stronie dachu”. (z)

BO WOJTEK

może nie umrę przed nim
może nie umrę
nie położę mnie
w jakieś tam trumnie
nie wyspię do umy
niebieskością szarą
i będzie mnie tak bardzo mało...
może nie umrę przed nim
może nie umrę
Bóg mnie wysłucha rozumnie
zostawi jeszcze na świecie
nie da zarobić gazecie...
ciało syna umyć pozwoli
nałożyć garnitur - niech boli
matczyna strata i grzech
po własnym dziecku umrzeć chcieć...

może nie umrę przed nim
nie umrę
może nie zasną
nim sen go nie zmorzy

zdażę mu jeszcze życie ułożyć
i jeszcze myśl
gdzieś przeszkadza
się tli
Boże, pomóż nie zgrzeszyć mi...

LISTOPAD

a tu jeszcze brzozy pełne
zmęczonej zieleni
jeszcze nastureja pomarańczą
znaczy w deszczu ścieżki
mokre głowy hortensji
przytulone do malw
brzemiennych
skulonych na wietrze
jeszcze modrzew ubrany
w żółte igielki
tylko buk opadł cały
szeleszczącą skorupą
zbrązowił las
listopad
późnej jesieni czas...

a kiedy umrę w ciepły dzień
to niech się ludzie o tym dowiedzą
niech przyjdą tłumnie na mój grób
poszepcą, popłaczą...
coś zjedzą

a jeśli deszcz i chłód
będzie się kładł na mój grób
a wiatr zatańczy miedzą
to niech ludzie o tym...
nie wiedzą

niech zostaną tam, gdzie są
a wszystko, to co będzie mną
już tylko pyłem i napisem
już tylko datą
zakończonym życiem